Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Jasiołda.

Fot. K. Świderski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 24 (764)

20 SIERPNIA 1934 R.



Przy huku armat i trzasku karabinów maszynowych. Białaczów, listopad, 1914 r. Od lewej: Ludwik hr. Plater, Stefan Faryszewski i Zygmunt hr. Plater.

KONKURS FOTOGRAFICZNY ŁOWCA POLSKIEGO.

Wzorem lat ubiegłych ogłaszamy konkurs fotograficzny na artystyczne zdjęcia łowieckie.

W roku ubiegłym na łamach „Łowca Polskiego" wyjaśnialiśmy, czego od artystycznej fotografji łowieckiej wymagamy, jakie są rodzaje tematów i ich wartość istotna.

Plon zeszłorocznego konkursu omówiony był również w osobnym artykule, zamieszczonym w Nr. 6 „Łowca Polskiego" z dn. 20 lutego r. b.

W premjowaniu będą brane pod uwagę fotografje najodpowiedniejsze do reprodukcji w „Łowcu Polskim".

Zasadnicze warunki tegorocznego konkursu pozostają niezmienione. Przypominamy, że na zdjęciach (odbitkach), nadsyłanych na konkurs, należy podawać tytuł obrazu, nazwę miejscowości i powiatu, markę aparatu użytego do zdjęcia, oraz godło konkursowe autora.

Nazwisko i adres, wypisane czytelnie, należy przesłać w oddzielnej, zaklejonej kopercie, opatrzonej na zewnątrz tem samem godłem, co wszystkie nadesłane na konkurs fotografje.

Wobec coraz wyższego poziomu nadsyłanych na konkursy zdjęć fotograficznych i pragnąc zachęcić jak najszersze koła ubiegających się o nagrody, Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich postanowił powiększyć liczbę nagród w porównaniu z ubiegłemi latami.

Nagrody pieniężne ustalone są, jak następuje: I nagroda — zł. 150.—; II — zł. 100; III — zł. 50.—: IV — roczna prenumerata „Łowca Polskiego" i V — półroczna prenumerata „Łowca Polskiego".

Niezależnie od powyższych nagród postanowiono przyznać za wybitne zdjęcia także odznaczenia w postaci złotych, srebrnych i bronzowych żetonów.

Wreszcie ustanowiono trzy specjalne żetony: złoty, srebrny i bronzowy za najlepsze zdjęcia o charakterze czysto łowieckim.

Jury konkursowemu przysługuje nadanie wszystkich wymienionych nagród i odznaczeń według uznania, bądź za pojedyńcze zdjęcia, bądź też za serje, lub całokształt pracy autorskiej.

Jury konkursowe stanowią, jak corocznie, członkowie Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego".

Redakcja zastrzega sobie prawo reprodukcji wszystkich nadesłanych na konkurs zdjęć fotograficznych oraz prawo ewentualnego udzielania odbitek, lub klisz drukarskich do użytku pokrewnych czasopism zagranicznych, w celach propagandowych.

Termin nadsyłania zdjęć na konkurs upływa z dniem 31 października r. b.

U w a g a: Warunkiem otrzymania dobrej kliszy drukarskiej, a następnie wyraźnej i przejrzystej odbitki w druku, jest ostrość zdjęcia, eksponowanego właściwie i odbitego na papierze bromosrebrnym. Najbardziej pożądany jest czarny kolor odbitki.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO"

ZE WSPOMNIEŃ O DOSKONAŁYM MYŚLIWYM.

Ś. P. ZYGMUNT HR. PLATER I JEGO PAMIĘTNIK ŁOWIECKI.

W niezrównanej swej epopei myśliwskiej, w „Sobolu i Pannie", Józef Weyssenhoff kreśli sylwety trzech braci Hrebnickich, namiętnych myśliwych, którzy zawsze i wszędzie chcieli „przestrzelać" towarzystwo, zebrać najwięcej sztuk ubitych. Panowie Hrebniccy mieli pretensje do „królowania" na każdem polowaniu.

„Odstępowali koronę tylko jeden drugiemu, byle nie wyszła z rodu Hrebnickich. Działali zawsze razem i solidarnie, miał przytem każdy swą wybitność osobistą: jeden był najpiękniejszy, drugi, przeważnie dowcipny, umiał mnóstwo monologów i naśladował do złudzenia głosy zwierząt, trzeci był gimnastykiem, niegorszym od japończyków. Ale który lepiej strzelał, albo który miał większe powodzenie u kobiet — tego nie można było rozstrzygnąć: wszyscy trzej działali bez pudła".



Śniadanie na polowaniu w Radziejowicach w 1902 r. Od lewej siedzą pp.: dr. St. Zaborowski, Henryk Sienkiewicz, Koz. hr. Krasiński, Edw. hr. Krasiński; stoi Edw. hr. Plater.

W salonach warszawskich żartowano, że pewne zewnętrzne cechy charakterystyczne, przypisane Hrebnickim, Weyssenhoff czerpał z życia, że miał na myśli młodych podówczas hrabiów Platerów z Niekłania, Białaczewa i Chlewisk, którzy wśród arystokracji b. Kongresówki w ciągu ostatnich dwudziestu lat przedwojennych wyróżniali się urodą, temperamentem i humorem, na polowaniach wielkopańskich rej wodzili, słynąc zwłaszcza jako wyśmienici strzelcy. Weyssenhoff, znakomity pisarz, należał poniekąd do tej samej generacji, lecz jako strzelec nie mógł im dorównać. Z tym samym zresztą lekko uszczypliwym uśmiechem w „Sobolu i Pannie" Weyssenhoff odnosi się do postaci Liebego, w której domyślano się znowu niejakich analogij z ś.p. Stanisławem Lilpopem, myśliwym wybornym i bardzo zasłużonym: w Liebem autor „Sobola" przedrwiwał skłonność do doktrynerstwa i pouczania. Było to ze strony Weyssenhoffa koleżeńskie przekomarzanie się, nic więcej. Któryż bowiem z myśliwych polskich tego pokolenia nie zachował w pamięci niepospolitych zalet charakteru, kompetencji łowieckiej i najlepszego wychowania tego nieocenionego towarzysza-myśliwego, jakim był ś. p. Lilpop? Weyssenhoff miał słusznie dość wysokie o sobie mniemanie. Był doskonałym myśliwym. Niezawsze jednak potrafił panować nad złym humorem, gdy na rozkładzie miał mniej zwierzyny, niż inni. Nie hamował natomiast zadowolenia, gdy mu służyło powodzenie; w tym wypadku przypisywał zazwyczaj pomyślny wynik nie szczęściu, lecz własnej zasłudze.

Młodzi podówczas synowie hr. Ludwika Platera (było ich pięciu) słynęli jako zawołani myśliwi. Ich wesołość i ochota do zabawy były powszechnie znane. Los wyposażył ich sowicie: życie śmiało się do nich, oni — do życia. Na polowaniu byli elementem wyjątkowo pożądanym. Promieniowali humorem i żywością temperamentów. Ja osobiście parę razy tylko na myśliwskich meeting'ach spotkałem się z hr. Zygmuntem; dało mi to sposobność podziwiania szybkości i celności jego strzałów. Jak głęboko nosił w duszy sentyment łowiecki, przekonałem się dopiero kilka miesięcy temu, nieomal w przededniu jego zgonu.

Było to, zdaje się, w lutym tego roku. Może nawet w styczniu. Dzwoni telefon.—Kto mówi?—Zygmunt Plater. Czy mógłbym pana odwiedzić? — Ależ proszę, panie hrabio, kiedy pan zechce. — Jeśli to panu nie zrobi różnicy, przyjadę zaraz.

Jakoż w kwadrans później wchodził już do mego gabinetu, skarżąc się trochę na trzecie piętro. Widocznem było, że serce dokuczało mu. Serce — i kryzys gospodarczy, dla ziemian tak niemiłosierny. Powiedział mi parę pochlebnych słów o moich „Wrażeniach łowieckich", wyjaśniając, iż właśnie te moje myśliwskie impresje skłoniły go, że się do mnie zwrócił. I oddał mi spory maszynopis, z dedykacją dla synów, która tak się zaczynała:

„W długie wieczory późnej jesieni 1930 r. i zimy 1931 r., gdy, wśród niebywałej depresji ekonomicznej, a przy własnych bardzo poważnych kłopotach, chcąc oderwać od nich umysł i bezsenne noce wypełnić, zabrałem się do pisania dla was wspomnień myśliwskiej mojej przeszłości".

Parę bliskich osób, rzekł hr. Zygmunt, przeczytawszy te pamiętniki radziło mi, abym ogłosił je drukiem. Czy nie chciałby pan powiedzieć swego zdania,—może udzielić praktycznej rady?

Oczywiście, zgodziłem się najchętniej, choć umysł i czas miałem wtedy kłopotami teatralnemi bardzo pochłonięty. Kilka tygodni minęło, zanim znalazłem wolne popołudnie. Było zapewne jednem z najmilszych, jakie w tym okresie mego życia spędziłem. — Lektura tych wspomnień oderwała mnie od ciężkich udręk, które tak intesywnie wypełniają nasze współczesne życie, przeniosła mnie w rozległe, balsamiczne knieje, tchnące dostojnym spokojem i powagą.

Nazajutrz napisałem do hr. Zygmunta Platera list, adresując go do Białaczewa. Komunikowałem rzetelną przyjemność, jaką mi dało czytanie „wspomnień", stwierdziłem jeszcze raz starą prawdę, że jeśli nie każdy poeta jest myśliwym, to każdy rzetelny myśliwy jest mniej lub więcej poetą... Minął tydzień, dwa — nie otrzymałem odpowiedzi. Znalazłem ją niebawem w dziennikach: w dziale nekrologów...

Czy „Wspomnienia myśliwskie" hr. Zygmunta Platera są godne druku? — Sądzę, że tak, zawierają bowiem wiele materjału, zaczerpniętego z bezpośrednich umiłowań, przeżyć i doświadczeń, zatem materjału posiadającego stalszą wartość. I dlatego także, że tkwi w nich pośrednio obraz życia ziemiańskiego w byłej Kongresówce, w okresie przedwojennym, że wyzierają z nich nastroje, jakie panowały podówczas w naszych arystokratycznych pałacach.

Hr. Zygmunt Plater upoważnił mnie do wydrukowania w jednem z czasopism wyjątków ze swego pamiętnika. Wydało mi się, że najlepiej ziszczę jego intencję, zwracając się do „Łowca Polskiego".

„Łowy — pisze na wstępie autor — to dla mężczyzny najbardziej ponętna, rycerska zabawa, to

wyładowanie śpiących w nas, prymitywnych instynktów walki, to podniecające współzawodnictwo, sprawność osobista, krzepkość ciała, szybkość decyzji, — wszystko ujęte w reguły stałe i uświęcone odwiecznym myśliwskim obyczajem. To stawianie nieraz czoła niebezpieczeństwu, to ciągłe napięcie energji, uwagi i wytrwałości, to wreszcie współżycie z naturą, a tem samem odpoczynek na jej łonie, urok samotności, to znów gwarne towarzystwo braci myśliwych, cóż za odetchnienie po nerwowem życiu miejskiem, czy też po zwykłych troskach zawodowych".

Majątki hr. Platerów obejmowały część Puszczy Świętokrzyskiej, Niekłań, Chlewiska i Bliżyn, graniczyły z sobą, stanowiąc areał około dwudziestu tys. hekt. Wraz z bezpośrednio sąsiadującemi lasami rządowemi i prywatnemi, kompleks lasów w tej okolicy stanowił około stu tys. hekt. jednolitej przestrzeni. Białaczew należał już do okręgu opoczyńskiego. Imponujący był zasób starodrzewia. Przeważały sosny, jodły i świerki, dąb trafiał się często gęsto, tworząc znakomite dla grubszego zwierza zagajniki.

Myślistwo w tych kniejach miało odległe tradycje. Kazimierz Wielki zjeżdżał tu ongiś corocznie, obierając sobie kwaterę w Opocznie. Prawda, że wabiły go w te strony nietylko wrażenia myśliwskie. Ślady dworzyszcza Esterki, w którem król spotykał się z piękną żydówką, istnieją podobno do dziś dnia. Znaczna połać sąsiednich lasów należała kiedyś do Maćka z Borkowic, skazanego na śmierć za zdradę stanu. W połowie ośmnastego stulecia majątki te przeszły na rodzinę Małachowskich. Stanisław Małachowski, marszałek Sejmu Czteroletniego, otrzymawszy je w spadku, podniósł gospodarstwo rolne i leśne na wysoki stopień kultury. Jego wnuczka w prostej linji, Stefanja, poślubiła pradziada hr. Zygmunta, wnosząc mu w posagu dobra Białaczewskie. Pozostał z tych czasów opis polowań, które urządzał ojciec późniejszego marszałka, tegoż imienia Stanisław Małachowski, jenerał wojsk polskich i kasztelan. Czytamy w nim:

„Stryjowie moi lubili polowania, sproszeni sąsiedzi zjeżdżali się, lasy były ogromne, polowano na jelenie, dziki i niedźwiedzie, wracano na noc w sobotę do Końskich, gdzie na dziedzińcu ustawione było wielkie rusztowanie z drzewa. Na niem rozwieszano zabitą zwierzynę. Co tydzień bryki przywoziły po trzy, a czasem więcej — niedźwiedzi, dzików kilkanaście i najmniej sześć jeleni. Ledwo tam kilka sarn można było widzieć, a żadnego zająca.

Niedźwiedzie w Opoczyńskiem! Zaiste dziwy! Prawda, że Kitowicz w „Pamiętnikach" swych z tych samych mniej więcej czasów, pisząc o polowaniach w Puszczy Kampinowskiej pod Warszawą, wspomina o łosiach, które tam wtedy nie były rzadkością.

Hr. Zygmunt zachował w pamięci, jak jego ojciec, któregoś wieczora, wyniósł młodziutkich synów na ganek w Niekłaniu, aby posłyszeli wycie gniazdowych wilków, których wtedy (mniej więcej 60 lat temu) sporo tam jeszcze było. Ja sam również pamiętam, jak małym chłopcem będąc, u brata mego pod Jędrzejowem, wczesną jesienią spotkałem się na skraju lasu z wilkiem. Wziąłem go zresztą za psa i dopiero zalterowany gajowy, który nadbiegł, napędził mi strachu. W tychże czasach w Niekłaniu zabite były na toku ostatnie w tych stronach dwa głuszce.

Dbałość o łowiectwo w b. Kongresówce, pisze hr. Zygmunt Plater, zaczęła się szerzyć dopiero w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia. Rzecznikami tych zabiegów byli przeważnie młodzi ziemianie, którzy kształcili się w Niemczech lub Austrji, i stamtąd przywozili świadomość, do jak pomyślnych wyników może doprowadzić racjonalna gospodarka łowiecka. Duże zasługi w tej mierze położyli ś. p. Henryk hr. Dembiński z Przysuchy i ś. p. Juljusz hr. Tarnowski z Końskich. Za ich przykładem zaprowadzono w okolicy należytą ochronę zwierzyny i żywienie jej podczas mrozów. Białaczew już w pierwszych latach obecnego stulecia doszedł do imponujących rezultatów hodowlanych. Knieja tamtejsza słynęła z obfitości jeleni, które przedostawały się ze Spały. Sporo dzików, około dwustu pięćdziesięciu sarn. Dzienne rozkłady polowań wynosiły w lesie po trzysta - pięćset sztuk. Kuropatw, pędzonych w polu, zabijano w ciągu trzech dni około tysiąca. Prócz tego były bażanty na dziko, toki cietrzewie, kaczki, słonki, tu i ówdzie lis i borsuk. W ciągu dziesięciu lat padło na terenach Białaczewskich ogółem dwadzieścia ośm tys. sześćset pięćdziesiąt dwie sztuki różnej zwierzyny.

Z tym większym smętkiem stwierdza hr. Zygmunt, że świetne czasy kniei białaczewskiej minęły, że obecnie pustką z niej wieje, bo wojna, kłusownictwo, układy serwitutowe i brak środków wyniszczyły zwierzynę.

Najobszerniejszą część „Pamiętnika" stanowią rozdziały, poświęcone poszczególnym rodzajom zwierzyny, na podstawie własnych obserwacyj, wspomnień i rozmyślań. Jeleń, dzik, kozioł i zając najwięcej zajęły miejsca. Kraszą te wspomnienia liczne anegdoty, z wielką żywością naracyjną podane. „Pamiętnik" hr. Zygmunta Platera tchnie spontanicznym temperamentem łowieckim i głębokiem umiłowaniem ojczystej gleby i kniei. Toteż, mnieman, spuścizna ta powinna znaleźć wydawcę, powinna powiększyć nasz ubogi zasób wydawnictw, poświęconych polskiemu myślistwu.

STEFAN KRZYWOSZEWSKI.

A BYŁO TO TAK...

(Dalszy ciąg).

Charakter lasu wcale nie potwierdza znawstwa mego furmana.

Suchy kompletnie bór kresowy przy granicach pól, wzdłuż których wypadło jechać, może szumieć wróżbą powodzenia myśliwskiego jesienią, gdy dobre „gończaki" ruszą z kotliny nielicznego w tych okolicach szaraka, ale słonka innego wymaga lasu.

Wiem, że tu ciągu być nie może i dlatego odbiegam myślą od miłego chrapnięcia długodziobych zwiastunów wiosennych rozkoszy myśliwskich.

Zaczynam z rezygnacją przyzwyczajać się do monotonnej pustki otoczenia i przechodzę stopniowo do spraw głuszcowych.

Co jakiś czas zapytuję, jak daleko do budanu, w którym mam nocować i spotykać przyjeżdżających o północy gości.

Z tonu odpowiedzi mego furmana wnioskuję, że odległość od celu podróży ulega wciąż nowym wahaniom, z czego znów rodzą się przypuszczenia, słusznie nabierające, jak się później okazało, wszelkich cech smutnej pewności, że poleszuk też może czasami zabłądzić.

Nie potrzebuję dodawać, że przekonanie o tej prawdzie spadło na mnie w chwili dość nieodpowiedniej, jak coś nieoczekiwanego.

Rada w tym wypadku też jest więcej, niż trudna, sam bowiem jestem w tej okolicy po raz pierwszy w życiu, więc chyba tylko liczyć wypada na instynkt i myśliwski „niuch".

Zsiadam więc z wózka i próbuję w ciemnościach odszukać niepozorne ślady drogi, co nie jest tym razem łatwe, gdyż w dodatku las iglasty ustąpił miej-

sca liściastemu krewniakowi, który znów wedle zwyczaju tak gęsto sypnął na ziemię jesienną daniną liścia, że pod jego grubą warstwą znikły i te oznaki, jakie charakteryzują rzadko uczęszczaną drogę leśną.

Z trudem i z niemałym wysiłkiem wzroku, idąc przed końmi, rozpoznaję kierunek krętej ścieżki, którą posuwa się za mną wózek.

Chwilami zatrzymuję konie, błądzę sam, nie mogąc zdecydować się na wybór tego lub innego, jednakowo szarego przejazdu pomiędzy drzewami.

Ciemności coraz gęstsze, drzewa coraz to wyższe, a droga coraz trudniejsza do odnalezienia. Obawiam się przytem spóźnienia na umówione miejsce, boć kierunek ledwie był mi przed wyjazdem znany, ale i ten przy stu różnych zakrętach po nocy zgubiłem, na furmana zaś liczyć przestałem.

Błądząc w tych warunkach, usłyszałem gdzieś daleko, jakby echo ludzkich odgłosów, pochodzących z tej strony, w której powinien znajdować się mój budan.

Taki wskaźnik w ciemnościach, w obcem miejscu, na nieznanych bezdrożach, natchnął mnie nowym zapasem energji i wytrwałości.

Patrzę na zegarek. Już minęła dziesiąta. Co będzie, jeśli do godziny dwunastej nie dojadę na miejsce?..



Krekucha. Photo-Plat.

Św. Hubercie, aby tylko dostać się do tych dobrych, czy złych ludzi, których głosy przed chwilą słyszałem. Może oni wyprowadzą mnie z chaosu, w który popadłem przez brak drogi, otchłań wysokiego lasu i głupiego poleszuka. Jestem przecież bardzo potrzebny przed świtaniem.

Mam prowadzić kolegę - myśliwego do króla naszych puszcz kresowych, do władcy czujnego, a nieznającego się na gościnności. Koledze zaś obce są tajniki sztuki zbliżenia się na odpowiedni dystans do kapryśnego władcy naszych serc myśliwskich.

Co będzie, gdy nie zdążę?

Ostry, nieoczekiwany łopot skrzydeł i kwoktanie czterech głuszyc, spłoszonych przezemnie i przez mój wózek z wierzchołków osin, czy jesionów, upewnia mnie, że wjechałem w tokowisko.

Chytry „Hrihor" chce we mnie wmówić, że to „worony podnialiś". Widocznie sam zrozumiał ciężkie następstwa nieznajomości drogi.

Stąd, od tego fatalnego miejsca dość stosunkowo prędko dobrnąłem do budanu, w którym oczekiwał Kuropatkin wraz z kilkoma „majstrami" głuszcowymi.

Pierwotnie słyszane przezemnie głosy pozwoliły zmienić kierunek mej beznajdziejnej, nocnej tułaczki i doprowadziły do właściwego celu.

Moja rozmowa z Kuropatkinem i objaśnienia dlaczego z tej właśnie, a nie z innej przyjechałem strony, była dość lakoniczna, ale zato tłomaczenia mego furmana przed Kuropatkinem nie zostały uznane widocznie za wystarczające, gdyż na zakończenie strzelec hrabiego, zwyczajem rosyjskim, dość ciężko obraził nieboszczkę mamusię głupkowatego woźnicy.

Już nie spałem przed przyjazdem gości, ale, rzuciwszy się na słomę przy ognisku, wznieconem w dość prymitywnym budanie, doczekałem się nareszcie przyjazdu Lorda Vivian'a, Dyrektora Mariotti i hr. Potockiego.

Noc nie była tak chłodna, jak zwykłe noce kwietniowe, jednak sam ubrany dość ciepło podziwiałem lorda, który miał na sobie zaledwie wojskowy, krótki, lekki płaszcz angielski, a na zapytania, czy nie odczuwa chłodu, uśmiechał się jak zawsze żartobliwie, mówiąc, że mu gorąco.

Po krótkim odpoczynku hrabia Potocki zadecydował, że poprowadzi sam lorda Vivian'a, a ja mam towarzyszyć p. Mariotti.

Przedewszystkiem więc informujemy naszych gości razem i zosobna, jak brzmi pieśń głuszcowa, kiedy należy podchodzić, kiedy nie ruszać się, a kiedy wolno nawet coś powiedzieć.

Wreszcie ruszamy, wszyscy w swoje strony, gdyż polujemy na dwóch tokowiskach.

Pana Mariotti i mnie prowadzi jakiś „had", którego imienia już nie pamiętam, do najbliższego tokowiska, na którem mają być zasadzone dwa koguty. Ilość zatem na jednego myśliwego wystarczająca, gdyż swoją broń pozostawiłem w budanie, pragnąc całkowicie zaopiekować się naszym miłym gościem i nie mając zamiaru strzelać.

Pech do błądzenia prześladował mnie tego dnia w dalszym ciągu.

„Had" niesie latarnię, którą oświeca ścieżkę przed postępującym za nim italskim myśliwym. Ja zamykam pochód.

Po kilku minutach widzę z ruchów przewodnika, że zbłądził. Zapytany odpowiada, że „diejstwitielno sbiłsa z dorogi".

„Heto panie z fonarom zawsiudu zabłudiszsia", objaśnia na swoje usprawiedliwienie.

Znając przyzwyczajenie poleszuków do rozpoznawania drogi w ciemnościach, nie odmawiam słuszności twierdzeniu naszego przewodnika i każę mu latarkę zgasić, co bardzo chętnie wykonał.

Za chwilę byliśmy na właściwej ścieżce, prowadzącej do tokowiska, jednak straciliśmy na poszukiwanie kierunku akurat tyle czasu, że głuszce zaczęły już grać.

Przyjemne a niecodzienne przeżycia, których doświadczałem, pozostaną mi nazawsze w pamięci, najjaskrawszym jednak konturem utkwił mi ów głuszec, do którego podchodziłem z p. Mariotti'm.

Teren był względnie suchy, t. zn. woda nie sięgała wyżej kostek. Samosiewny zagajnik dość rzadki, a nad nim co kilkaset kroków czuwały, jak starszyzna, dębowe nasienniki.

Mój italski towarzysz, zapytany czy słyszy głuszca, oczywiście odpowiada przecząco, jak każdy, kto po raz pierwszy znalazł się na tokowisku i nie widzi grającego ptaka.

Zresztą głuszec jest dość daleko, gdyż i ja nie słyszę jeszcze nic, prócz korkowania.

Zaczynamy podchód.

Pod lewe ramię trzymam mocno mego towarzysza, nieprzyzwyczajonego do chodzenia po wodzie, w lewej dłoni ściskam jego Purdey'a, aby tymczasem łatwiej mógł balansować w tych miejscach, gdzie obawia się o utratę równowagi i tak idziemy, po jednym, lub dwa kroki, w pieśń.

Po jakiemś nieostrożnem stąpnięciu, między pieśniami, z trzaskiem łamie się gałąź pod niezłą wagą p. Mariotti, a upragniony śpiewak milknie natychmiast.

Zatrzymuję mego partnera na miejscu, a sam z natężeniem łowię szmery lasu w oczekiwaniu, że zaraz usłyszę łopot koguta, który spłynie z drzewa po tym niefortunnym kroku.

Cisza.

Stoimy bez ruchu.

Jutrzenka wpycha już na niebo ciemne kontury gałęzi bliższych i dalszych drzewek, rozjaśniając coraz mocniej szafirowe tło cudownego obrazu, a głuszec wciąż milczy.

Żeby choć klapnął, ale i to nie.

Chwile zdają się minutami, minuty — kwadransami.

Jak długo czekaliśmy na tajemny znak do dalszego podchodu, nikt z nas nie wie.

Wreszcie cierpliwość wieńczy nieśmiałe stuknięcie. Jedno... drugie... trzecie... i pierwsza pieśń skończona.

Za nią również nieśmiała, powściągliwa dobiega uszu druga, potem — trzecia i następne.

Nie chcę tracić cennego przedświtu, by wykorzystać względną już szarość, z drugiej znów strony czekam, by głuszec rozegrał się na dobre, bo ze smutkiem konstatuję, że klapanie i „korek" słyszę dobrze, ale szlifowania nie mogę uchwycić i to utrudnia moje własne ruchy, nie mówiąc już o prowadzeniu cudzoziemca.

Miarowość korkowania pcha mnie jednak naprzód. Po kilku krokach widzę głuszca, jak na grubej i dość wysokiej gałęzi, profilem skierowany w prawo, gra zupełnie spokojnie.

Liczę na marne oświetlenie i na to, że po 5 — 6 pieśniach schowamy się za dosyć gęsty krzak, ale na drodze spostrzegam leżącą wpoprzek kłodę, którą trzeba przestąpić, bo jest za długa, by ją można było obejść.

Wyliczam więc na oko tak, by podczas jednej pieśni można było przeszkodę przebyć jednym krokiem i jestem już blisko celu, gdy...

„Voilà! il est ici" — krzyczy uradowany mój towarzysz i ręką wskazuje siedzącego głuszca.

Św. Hubercie, dlaczego nie chciałeś wtedy odjąć na chwilę mowy memu miłemu gościowi? Dzięki ci choć za to, żeś mnie obdarzył takiemi piorunami oczu i gestu, że skonfundowany syn cudnie pięknej Italji za moją już sprawą zaniemówił i skamieniał.

A że to w Polsce nietylko ludzie, ale i głuszce widać znają się na obowiązkach gościnności, więc — o dziwo—nasz głuszec nie odleciał, lecz z rezygnacją opuścił wachlarz i czeka, najwyraźniej czeka na strzał gościa - cudzoziemca, bo na naszego napewnoby nie czekał.

Ruchem podobnym do bezruchu podaję strzelbę panu Mariotti i mówię szeptem: „strzelaj pan".

Mariotti celuje bez końca i strzela, a głuszec, jak siedział, tak siedzi.

„Strzelaj pan drugi raz", rzucam już niezbyt grzecznie.

Strzela po raz drugi... no i co?

Myślicie państwo, że głuszec czekał na trzeci strzał?

Otóż właśnie, że przestał czekać.

A kroków było mierzonych 50.

Niby daleko, ale dla Purdey'a strzał pewny.

(Dok. nastąpi). JERZY DYLEWSKI.

Z POD GONU.

(Z książki „Szczenięce lata", która ukaże się we wrześniu b. r).

Michiej zajmuje przy dworze funkcje nieokreślone. Mieszka we wsi odległej o kilometr, w której ma krzywą chałupę i kawałek gruntu. Ale nigdy go przy roli nie poświeci, a ze dworu co rusz, to posyła się po Michieja.

Jest on Wielkim Łowczym, którego dyktaturze ulegają nietylko wszyscy leśnicy, ale i nadleśny, i paniczowie, i goście.

Był kiedyś leśnikiem, kradł, pił i strzelał zwierzynę. Wydalony — był jednak nieodzownym ze względu na wielką znajomość obyczajów zwierza.

Zbudować „woukowniu" (pułapka na wilki), wytropić, w którym ostępie są łosie, znaleźć barłóg niedźwiedzi, rozkopać norę lisią, albo borsuczą, rozstawić wnyki na jastrzębie, spreparować z postrzelanych wróbli trutki na lisy, zaaranżować kulig z prosięciem, pokwikującem w saniach i wiązką grochowin, ciągnącą się na długim sznurze za saniami, wabić kaczory na błocie, jarząbki po chojarach, w wieczory jesienne wyjeżdżać z wielką brzozową tubą na wabienie wilków, aż cały horyzont wkrąg rozbrzmiewać zaczyna wyciem, iść „na zasiadanego" na wilki i lisy do położonego padła tak, że dwaj myśliwi idą tyłem, nakryci jednym kożuchem, trafiają ślad w ślad, potem jeden zostaje, a drugi, okryty tymże kożuchem, wraca już przodem, trafiając w te same ślady, zasadzać się na ciąg kaczek, słonek, penetrować, gdzie na spoczynek zapadają klucze żórawi, a gdzie dzikich gęsi, „soczyć" leśnego kota — rysia, budować budki na cietrzewie toki, zażyć ogary, rozplanować wielką obławę — oto specjalność Michieja.

Ile miał lat ten leśny człowiek — nikt nie wie. Uczył kunsztu myśliwskiego, zdawałoby się, pokolenie za pokoleniem.

Miał oliwkową, na rzemień wyprawioną, pociętą zmarszczkami twarz, oprawioną w rzadką, capią brodę. Gębę miał stale otwartą i uszy nasłuchujące wdal. Pachniał cały silnie, jak leśne zwierzę, jak pachną wilki, lisy — jakąś skomplikowaną wonią dymu, ziemi, listowia. Poznawałem zawsze obecność Michieja w domu po zapachu. Nosił łapcie na białych parcianych spodniach, nisko sznurowane i chodził niesłychanie lekko i sprężyście, bez względu na to, ile zwierzyny przytraczał do swojej torby. Strzelbę miał pistonówkę, o nieskończenie długiej lufie, ale nie strzelał z niej na polowaniach nigdy.

Do celu nieruchomego — tarczy, czapki, butelek, strzelać nigdy nie chciał; podejrzewam, że strzelał źle. Polował niechybnie: chłopską metodą straszliwej, powolnej cierpliwości, wyczekiwania godzinami i „pewniaka".

Pokorny zawsze wobec państwa, akcentujący w sposób wschodni całkowite oddanie z duszą i ciałem, był, w gruncie rzeczy, niezależny. Nie prosił nigdy o nic, nie miał żadnych żądań. Uprawiał sztukę dla sztuki.

Niedźwiedzie, łosie, rysie — to wielki dzwon (Michiej opowiadał mi nawet o ostatniem żeremiu bobrowem, które w młodości oglądał). Dla mnie wspomnienie Michieja, to przedewszystkiem ogary.

Kiedym, ośmioletnim chłopcem, po raz pierwszy przywieziony został z Nowotrzeb do Kałużyc, pokazano mnie Michiejowi i gromadzie leśników.

Odbył się akt witania, z całowaniem w rękę, z obrzędowem podziwianiem, jaki jestem do „nieboszczyka pana" podobny, z dawaniem wyrazu ukontentowaniu, że przyjechał „nasz panicz na swój majątek".

Otóż pamiętam swoje pierwsze w życiu polowanie — ośmioletniego chłopca, występującego jako suweren.

Przyniesiono mi maleńką fuzyjkę — pojedynkę — pistonówkę (moja, z której strzelałem do wron i wiewiórek, została w Nowotrzebach).

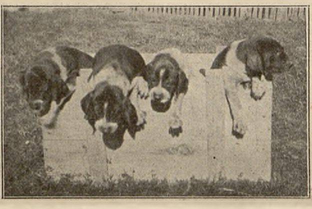
Pistonówka, własność synów rządcy, okazała się mocno zdezelowana — nie za każdym razem zbijała kapiszon.

Przyprowadzono rwącą się na smyczach sforę pięciu gończych. Typ to psa myśliwskiego, nieznany niemal w etnograficznej Polsce. Czarne od góry, podpalane z dołu, względem ludzi zupełnie łagodne, cenione są gończe psy za dwie cechy: nos i głos.

Na widok strzelby radość ich psich serc wzbiera i przelewa się przez brzegi.

Idziemy pieszo — las zaczyna się o pół kilometra od domu.

W drodze natykamy się na zdziczałego kota; probuję do niego strzelać: trzykrotnie odciągany kurek spada na piston bez rezultatu. Jestem zrozpaczony— co to będzie z zającem?



Dzieci „Iwana" i „Vagi" Fot. por. K. Hulla.

Na białej grobli, między zagajnikami, w upatrzonem miejscu ustawił mnie Michiej. Kazał cicho stać, postawił po obu moich stronach na grobli, w odległości po sto kroków dwu leśników i poszedł z psami w las. Stary Michiej zawsze był z psami. Polowanie z gończemi polega na tem, że zwierz ma swoje tradycyjne chody, które, skoro się obstawi, otrzymuje się strzał pewny. Druga właściwość zająca jest ta, że zawsze wraca on na miejsce, z którego został ruszony. W razie więc pudła, należy wskazać zdezorjentowanym psom, które nieraz prowadzą zająca „nosem", idąc za nim w odległości nieraz paru tysięcy kroków, — trop, którym poszedł chybiony zając, poczem należy czekać; psy ruszają w dalszy pościg, za niemi niebawem ukazuje się Michiej, który przesadza swoim lekkim krokiem linję, kręcąc z dezaprobatą głową i zanurzając się w gąszcz — poczem „gon" t. zn. zając, psy i Michiej, zataczają ogromny łuk po okolicznych wsiach, łąkach, rewirach, uroczyskach, aż wreszcie szarak wraca na dawną dróżkę; skoro i teraz, z tych czy innych względów minie go śmierć, wierne psy go nie wypuszczą i trzymać będą dalej, aż naprowadzą po raz trzeci. Cena psa zależy od tego, jak dobrze „trzyma".

Jak Michiej jest w stanie robić te kilkowiorstowe nieraz koła za psami — to jego tajemnica. Dosyć, że zjawia się zwykle w krótkim czasie po strzale. Przypuszczam, że, znając doskonale swoich partnerów, przechodzi po przekątnych.

W czasie „gonu", czy to jest blisko czy daleko, czy zbliża się czy oddala, myśliwy nie jest skazany na bierne czekanie. Jeśli sfora jest dobrze zestawiona, ma w każdej sekundzie szczegółową relację z psich głosów o położeniu w terenie. Doświadczony myśliwy z „grania" poznaje, czy gonią szaraka, czy wilka, czy lisa, czy idą „na oko", czy tropem, a jeśli tak, to w jakiej przypuszczalnie odległości i który pies widzi zwierza, a który się „doławia".

I ta pełna wyrazu muzyka lasu jest największym urokiem polowań w gończemi.

Stryj Teodor Wańkowicz-Bej, emigrant 1863 r., zajmujący u Turków wysokie stanowisko, kiedy w 1905 r. po raz pierwszy pozwolono mu wrócić do kraju i poszedł z gończemi,—gdy zagrał gon, rozpłakał się, jak dziecko.

Nietrudno więc zrozumieć, jak istotne dziecko, chłopak ośmioletni, stojąc na linji, drżał febrycznym dreszczem, jak każdy dźwięk z puszczy, nieznanemi, żłobionemi z prawieków drogami duszy, wypełniał ciało melodją, w której zatraca się jestestwo.

Długi czas nie było nic. Zając — w ziemi wilka, rysia, kuny i puhacza — to rzadki zwierz, za którym trzeba się nachodzić. Bór szumi, dzięcioły kują, aż słychać, jak sosnowe szyszki na ziemię spadają.

Serce tak wali, że nie mogę tchu utrzymać. Może dlatego, że tak robi Michiej, słucham z otwartemi ustami. Potem przywykłem do tego zwyczaju leśnych ludzi — tak lepiej słychać.

Nagle długo oczekiwany dźwięk przeszywa mi serce.

Słychać gon! Patrzę na stojącego obok leśnika; kręci głową z dezaprobatą.

— Dunaj na biełku łaje!

Dunaj, młody to gończy, który zaczyna praktykować; nie wie, że nie przystoi stanąć pod drzewem, podnieść pysk i szczekać, jak głupi, na wiewiórkę. Niebawem słyszymy skowyt: to go poucza Michiej.

Bieda jest z tą młodzieżą. Mamy dwa nowe gończe: Dunaja i Wisłę. Ta młodzież, wpadłszy naprzykład na ślad wiewiórki, borsuka, łasicy — zaczyna doławiać się i zwodzi nas wszystkich.

Z pozostałych trzech psów dwa są pierwszorzędne: pies Zagraj, odznaczający się przepięknym, głębokim basem, wielką rozwagą, wytrwałością i statecznością; ten nigdy nie zagra, nim zwierz nie ruszy; wziąwszy nawet całkiem pewny i świeży trop, idzie nim w absolutnej ciszy. Suka, Śpiewka, ma bajeczny, koloraturowy sopran, fenomenalny węch, który pozwala jej iść za tropem z głową wysoko wzniesioną oraz piekielny temperament, który ją czasem wbrew rozwadze ponosi i wskutek którego, doławiając się, jeszcze przed ruszeniem zwierza, nie może od czasu do czasu wytrzymać wydzierającego się z piersi szlochu pożądania.

Piąty pies — Murza — jest dobrze dobrany altem, bąków nie strzela, gon ma dobry, nieco jednak zbyt mało inicjatywy, traci ślad zwłaszcza, gdy wypchnie kota na strzelbę i kot, czy to chybiony, czy nie strzelany — pójdzie dalej; trzeba go wtedy przeprowadzić przez linję i pyskiem tknąć w dalszy trop.

Stoi las cichy i znowu gdzieś z dalekich, czarnych, tchnących wilgocią ostępów wypływa cichutki, przerywany, tłumiony psi jęk pożądania. To Śpiewka „doławia się". Kluczy między kępami młodniaków, jak kluczył szarak, nim zapadł na sen. Traci trop i wtedy nie może wstrzymać się od płaczu, to znowu trop odzyskuje.

Pojękiwania trwają od dłuższego czasu — napewno jest już przy niej milczący Zagraj, pewno lasem pośpieszają pozostałe.

Nagle pojękiwanie zmienia się w równy, dźwięczny, jak szklany dzwoneczek jazgot: „aj-aj-aj-aj". Dołącza się do niego huczący, soczysty, jak z pustej beczki, głos Zagraja: „ą-ą-ą-ą".

Ukosem przez las przebija się alt Murzy — zabiega szarakowi drogę.

Teraz są trzy głosy.

Z tyłu słychać przeszywający krzyk Michieja.

— „A-szu".

To wzywa młodzież. Już są i ostatnie pieski; dołączają swoje niewyformowane głosy.

Gon teraz idzie pełny, las rozdźwięczony jest, jak pudło basetli. Gdzieś tam, położywszy słuchy na karku, ciągnie za sobą ten pawi ogon dźwięków niepozorny szarak. Oczy aż bolą, wlepione w las — palec na cynglu. Muzyka gonu wzbiera do najwyższego napięcia, wywala się z czarnej ściany lasu, już przedrze seledynową koronkę brzózek, już wnet gon cały wypadnie na groblę.

Gdy nagle — wszystko przechodzi bokiem i gon zaczyna się oddalać.

Stary szarak. „Kołuje"—szepce leśnik, a mnie robi się tak straszliwie pusto w sercu, że blednę. Chciałbym się rzucić za najbliższe brzózki, pewno go jeszcze zobaczę na strzał, ale dyscyplina wewnętrzna trzyma mnie na miejscu. Co powiedzą leśnicy? Nie jestem dzieckiem. Reprezentuję „panów".

— On tu wróci — mówi leśnik.

O, jakże cudownie słychać teraz gon — kiedy wiadomo, że szarak się oddala, kiedy nie trzeba się emocjonować o strzał. Psy dobre — nie rwą się, by złapać szaraka — Zagraj trzyma sforę w rygorze — i gon idzie równo, w oddali kilometra zlewa się w jeden ton pięciobarwny, rzekłbyś — jedzie ktoś janczarami skrajem lasu. Potem cichnie w przestrzeni bas Zagraja, głosy młodych, alt Murzy i tylko długo jeszcze słychać dyszkant Śpiewki. Wreszcie nie słyszę nic. Las uśmiechnął się, prześwietlił i zabiera się do zwykłych zajęć.

Leśnik pochyla się i flegmatycznie sznuruje łapeć.

— Straciły gon? — pytam.

Roztwiera usta i z natężeniem słucha:

— Są za Osowem — powiada.

Nie słyszę nic. Leśnik zgarnia igliwie z jakiegoś pniaka i proponuje, żebym siadł.

Siedzimy jakiś czas w milczeniu. Tysiąc miałbym pytań — nie pozwalam sobie na nie. Nadlatuje czarna żołna — rzadki ptak — oczy mi się jarzą — jest na strzał — ale wiem, że kiedy idzie gon, na linji strzelać nie wolno. Ale gdzież jest ten gon? I czy nie myli się leśnik?

Nagle Białorus zrywa się z pieńka:

— Zawracają...

Są koło Koluża i zając znowu na nas idzie.

Po chwili, wydzierając się niby z pod ziemi, dobiega głuche „aj-aj" Śpiewki. Wyraźnieje coraz bardziej, jakby ktoś tłumik zdejmował z instrumentu. Oto już inne głosy; ale basu zagrajowego nie słychać.

— Zagraj nie gra, znaczy, węchem gonią; zając lekko przed nim idzie; panicz niech uważa, bo...

Twarz leśnika kamienieje i oczy wlepiają się w jeden punkt: tam, z zatoczki brzozowej, szybko biegnie — pierwsza myśl — pies — nie, na Boga — cicho, położywszy uszy — sadzi wprost na groblę szarak.

Przed groblą nie zdążyłem strzelić; na grobli nie strzelam, aby nie trafić ludzi, przepuszczam go na drugą stronę, mierzę w głowę i pociągam cyngiel. Strzelba akurat nie zawiodła — wypaliła!... Zając leci przez głowę, fikając koziołki. Myślę, że ucieknie, wypaliłem jedyny nabój, chcę chwycić strzelbę leśnika, ale ten się zaśmiewa.

— N a p o w a ł... — powiada.

Istotnie. Leży — ani drgnie —ogromny zając (ważył czternaście i pół funta), a w szyi zieje mu ogromna rana. Z lasu wybiegają psy i radują się.

Wtedy niech mi kto objaśni, jak to przyszło? — podnoszę głowę i pełną piersią na cały las wołam:

— To—to—to—to—to—to—to!

Potem przekonałem się, że ten krzyk tryumfu wydają białoruscy myśliwi zawsze po ustrzeleniu zwierzyny. Tłumaczy się to potrzebą zwołania psów i ściągnięcia stanowisk. Ale przekonany jestem, że ten krzyk tryumfatora, zwołującego współmyśliwych do podziału łupów — narodził się przed tysiącleciami. Skądżeby się nagle wziął mi w gardle?

Z kniei wybiega Michiej. Leśny człowiek już wie, że się jego panicz spisał. Inaczej gonby trwał.

— Nu i panicz! — woła, nie posiadając się z radości. Wyciąga nóż, odcina skoki i rzuca psom. Na pięć — jest tego po kawałku. Ale to symbol i honorowa nagroda, i psiska to rozumieją.

Potem bierze wielkie, tłuste, puszyste ciało starego szaraka — kombinatora, odgina za słuchy łeb, by szyja krwawiła więcej i broczącą zajęczą farbą jedzie mi dokumentnie po całej twarzy.

Nie protestuję — duma rozsadza mi piersi. Wszak to pierwsza zwierzyna i pierwszy chrzest myśliwski.

Są dwa pasowania myśliwskie, przyjęte na Białorusi od prawieków. Pierwsze — krwią drobnej zwierzyny, która zaczyna się na kuropatwie i zającu. Druga — przy pierwszym wilku, który otwiera serję grubego zwierza. Ale wtedy zanurzyć trzeba twarz w wilcze jelita, które odznaczają się straszliwym fetorem.

MELCHIOR WAŃKOWICZ.

Z ŻYCIA DROPI.

„Polski struś, dziś tak u nas rzadki, jest mi blisko i dobrze znany.

W drugiej połowie ubiegłego stulecia szeroko jeszcze był rozmieszczony w Kijowszczyźnie, chociaż już masowe swe lęgi odbywał li tylko w pewnych zakątkach Ukrainy. Mianowicie trzymał się stale na stepowych, jeszcze niezoranych pługiem obszarach, na terenach kulturalnych zaś spotkać go można było już tylko sporadycznie.

Z dzieciństwa pamiętam doskonale, że dość liczne stadka, a nawet duże zgromadzenia, tabuny, do stu sztuk i więcej — nie były rzadkością, szczególnie w Humańskiem, Taraszczańskiem i Skwirskiem w okresach przelotów. Dopóki jeszcze choć w jednym z naszych folwarków znajdował się dziewiczostepowy teren, porosły głównie tak zwanym „tyrsem", stanowił on ulubiony zakątek dla lęgów dropi. Później—kiedy i ta reszta dawnych „dzikich pól" z okresu wojen kozackich i trylogji Sienkiewiczowskiej wstąpiła w okres kultury, ilość dropi lęgowych odrazu zredukowała się do 2—3 par w zbożach, prócz oczywiście wiosennych i jesiennych stad przelotnych, bardzo, powtarzam, jeszcze wówczas licznych. Trochę dalej na południu, na bezbrzeżnych równinach Humańszczyzny było ich natenczas zatrzęsienie.

Młody kogut, złapany z naszych lęgowych dropi, doskonale hodował się z drobiem w mojej Wierzchowni. Po paru miesiącach, z niewiadomych przyczyn zginął.

Cóż to za majestatyczny był widok, owego dumnie przechadzającego się okazu *otis-tarda*, obecnego na podwórku kurnika, pomiędzy indykami i innem domowem ptactwem. Niesamowita kombinacja. Karmiony był w początkach bułką z mlekiem; później odżywiał się ziarnem z domieszką twarogu. Stąd wniosek, że doskonale da się hodować, oczywiście pojmany zamłodu. Mój okaz nie był wcale trwożliwego usposobienia, spacerując często rozpuszczał swój wachlarz— niby nakształt indora się pusząc.

Kiedy w wieku około dwunastu lat życia zacząłem bawić się fuzyjką, niejednokrotnie z moim łowieckim mentorem, sławetnym Broniem Dymniczem, strzelałem do dropi.

Pudełka zdarzały się przytem nieraz i to pierwszej klasy. Pewnego dnia naprzykład, czatując na kaczki, przy stepowem jeziorku nadciągnęło nad moją głowę,

literalnie na jakieś 8—10 kroków odległości, sześć sztuk tych „aeroplanów". Haniebne dwa pudła ukoronowały owe spotkanie. A Bronia nie było przy mnie, dla „poprawki".

Innym razem, konno na klasycznym „liczykopie", w upalny sierpniowy dzień, pomiędzy kopami zboża najechałem na blizko pół setki dropi, leżących na bokach, z roztwartemi od gorąca dziobami. W najwyższym popłochu, porwawszy się na nogi, poczęły też a la struś uciekać na piechotę—dla niezbędnego rozpędu do lotu. Odległość była może 30—40 kroków, nie więcej. Strzelby przy sobie nie miałem, niestety!

Później uganialiśmy się nieraz za dropiami, stosując rozmaite sposoby. Najlepsze wyniki dawało okrążanie żerujących na ścierniskach — coś, w rodzaju „kotła", bardzo rzadkiego naturalnie, objętego przez kilkunastu chłopaków. Myśliwi zalegali poza linją okrążenia w rowach, burzanach, lub poprostu leżąc na brzuchach. Zdarzało się, że nim zdążyły dropie nabrać wysokości, nadlatywały nieźle na tego lub owego myśliwca. Podjeżdżano je także na wozach, podwlokącem nogi starem koniskiem. Ten fortel rzadko się udawał. Czujne i ostrożne ptaki odrazu prawie zawsze uświadamiały sobie niebezpieczeństwo. Starzy myśliwi dawnego autoramentu, późną jesienią, w czasach raptownych przymrozków, nad ranem, po dniu dżdżystym, kiedy to gołoledź pokryła skorupą skrzydła dropi, naskutek czego bardzo ciężko, albo i wcale nie mogły się zerwać do lotu—polowano na nie z chartami.

Powiadano, że czasami dropie kilka kilometrów na nogach dawały świetne „drapaki" i nie gorzej od starych, wytrawnych, stepowych szaraków wykręcały się z najcięższych opresyj od przeróżnych Doskoczów, Żmijek i innych Wichrów.

Wspaniały musiał to być widok, pędzących, jak Chrzanowski parowóz, ogromnych ptaków, z lekko rozwartemi skrzydłami, które do pomocy, niby żagle, zrywając się do lotu, majestatycznie rozpuszczały. Jakoś nigdy, niestety, nie udało się małemu ongiś Adasiowi uczestniczyć w tych hipicznych łowach. Zawsze coś przeszkadzało, no i nie często coprawda trafiała się ku temu okazja. Korzystając z tej obezwładniającej dropie właściwości, miejscowi „diad'ki" (chłopi), szczególnie na stepach pomiędzy Chersonem i Ekaterinosławiem, częstokroć zapędzali je do polowych szop, schronów na siano, mających wrota nawylot otwarte. Całe stada-tabuny dropi zamykali do wnętrza tych budynków. Wsie *in corpore* wychodziły na tego rodzaju ohydne masakry. Nieraz po paręset sztuk nieszczęsnych ofiar z a r z y n a n o tam po ich zamknięciu.

Pamiętam jakiś rok z lat osiemdziesiątych, w którym nawieziono taką masę tych ptaków, że, nie mówiac o kijowskich i odeskich targach, w każdem miasteczku ukraińskiem można było nabyć dropia od pół do rubla za sztukę.

A wagę ptak „wyciągał" przeciętnie 28—30 funtów.

Przez cały październik figurował ów makabryczny towar, „upolowany" w przeciągu paru dni takiej gołoledzi!

Pomimo trudności zdobycia dropi drogą legalnego polowania, zawsze jednak kilka sztuk w sezonie padało na Wierzchowieńskich terenach.

Pod względem gastronomicznym mięso ich nie cieszyło się wielką popularnością, ani renomą. Zazwyczaj — bywało konieczne zakopywanie go na 10—12 dni głęboko do ziemi, na półtora łokcia, a to celem osiągnięcia należytego skruszenia. „Ekshumowane" potem i podane na stół jako duszone, z buraczkami, stanowiły wcale smakowite pieczyste.

Bez tej ziemnej maceracji istotnie były nie do przełknięcia. Stary śpiewak - głuszec jest chyba młodą przepióreczką w porównaniu z niemi.

Stary nasz przyjaciel-sługa, Jędruś Mościpański, który za czasów jeszcze ś. p. pana Hańskiego, pierwszego męża mej ciotki, będąc strzelcem nadwornym, opowiadał mi, że „w dawne czasy", kiedy to stepów nierozoranych, pokrytych tyrsem i bodiakami było wbród, a dropi też nie mniej — te ostatnie wiosną odbywały burzliwe toki. Udawało się podobno niekiedy podpełznąć do roztokowanego koguta i stuknąć go. Samce biły się zawzięcie, roztaczając wachlarze i rozpuszczając skrzydła. Zaiste imponująco musiały wyglądać owe przedhistoryczne prawie igrzyska tokowe. Później — ponieważ dużo dropi lęgło się w trawach, polowano z legawcem na młode w lipcu i sierpniu. Wyżeł wystawiał je w trawach i burzanach na jakieś kilka kroków od myśliwego. Podrywały się z miejsca bardzo ciężko, nie wyciekając prawie zupełnie z pod psa. Jaką to musiało sprawiać rozkosz spuścić podobnej tuszy i rozpiętości ptaka. Pod względem kulinarnym, podobno były wyśmienite, zupełnie przypominając młode indyki.

Zdobyć można było z łatwością do dziesięciu sztuk nieraz. Nawet stary, rozmarzony kogut czy indyczka, gdyż dalibóg trudno „kurą" nazwać podobnego kolosa — dosiadywały przed psem taksamo. Już za moich czasów niepodobna było tak na nie polować — nawet, gdy się udało upatrzyć gniazdo, a to z tej przyczyny, że gęstych traw, jako ukrycia, brakowało, w zbożach zaś, które zazwyczaj były już zżęte przed czasem lotności młodych, nie dotrzymywały. Słyszałem o sporadycznych wypadkach strzałów z podrywu — w dni wielkich upałów, ale mnie osobiście nigdy się to nie zdarzyło.

Natomiast jeszcze nawet w początkach ubiegłego wieku w Chersońszczyźnie, Zagłębiu Donieckiem, Besarabji w szczególności, gdzie były duże plantacje kukurydzy, tamtejsi myśliwi zupełnie regularnie odstrzeliwali młode dropie z pod psa, korzystając właśnie z kukurydzianych remiz. W nich dropie zalegały twardo i wyśmienicie dotrzymywały. Kto wie, czy nie można tak i teraz na nie tam polować? W każdym razie należy pozazdrościć i tym, co na nie kiedyś polowali, i tym, którzy mogą w naszych czasach uprawiać ten rzadki sport, odstrzału tego wymierającego strusia Europy. Nie znam stworzenia podobnie ostrożnego na odkrytej przestrzeni, przezornego i bystro orjentującego się.

Trzeba było widzieć, z jaką intuicją wybierał kierunek lotu, będąc w kotle, z jaką sprawnością dawał świecę w górę, nadleciawszy i znienacka zauważywszy myśliwego.

A co za śliczne tygrysio-pręgowane upierzenie grzbietu, blado szaro-modre szyi — tak piękny wachlarz, sumiaste, zwieszające się wasy u starych samców! Cała szlachetna postawa ich, pełna godności i zawsze na baczności. Rzekłbyś staropolski rycerz kresowy nad bezpieczeństwem Kudaku, czy innej fortalicji, pilnie czuwający.

Toteż przy tych wszystkich walorach pozwalam sobie jeszcze raz (o czem już pisałem w N-rze 11 Łowca Polskiego, uzyskując solidaryzującą się z moją — opinję Sz. Redakcji), podkreślić, że niema dobrej racji co do kompletnego zakazu odstrzału tego ptaka.

Owszem, im bardziej zainteresują myśliwych wymierające „strusie", tem lepiej. Kto wie, czy nawet przy całej intensywności akcyj budowlanych i coraz gęstszem zaludnieniu nie uda się podnieść przy podobnych chęciach malutkiego u nas tego stanu ptaka.

Dlatego trzeba jednak polować, polować i jeszcze raz polować! Nie będzie to żadną ujmą dla „strusiego" rodu.

Bo jeszcze nie urodził się ten, któryby mógł dropiom uczynić krzywdę odstrzałem — jego rodowi i dalszej rozmnoży.

Za mądry to ptak!.....

ADAM RZEWUSKI.

DOKARMIANIE ZWIERZYNY ZIMĄ „CUKREM PASTEWNYM".

W okresie letnim, t. j. w okresie obfitości paszy dla zwierzyny łownej, myśliwy - hodowca nie troszczy się o dokarmianie, czy to czworonogich, czy skrzydlatych mieszkańców pól i lasów swoich. Inaczej wygląda to w zimie, kiedy zwierzyna znaleźć może z wielkim trudem najlichsze tylko pożywienie, słabnie i wskutek tego staje się łupem drapieżników. Wówczas myśliwy-hodowca stara się dopomódz zwierzynie, zadając w różny sposób pasze właściwe dla danego gatunku. W pierwszym rzędzie wskazane są wtedy pasze pożywne, a łatwostrawne, skoncentrowane i energetyczne. Taką paszą będzie przedewszystkiem cukier, bowiem jest on paszą rozkładającą się przy ruchu zwierząt bez reszty, dając w rezultacie ciepło i siłę. Ilustruje to proces chemiczny:

C/6 H/12 60/2 = 6 co/2 — 6 H/2 O

(Zaznaczyć jednak należy, iż cukier jest węglowodanem, a zatem przy jego skarmianiu dodatek paszy białkowej jest konieczny).

Cena cukru konsumcyjnego ludzkiego nie pozwala tego produktu użyć na dokarmianie zwierzyny, na ten cel nadaje się natomiast „cukier pastewny".

Ten ostatni jest cukrem skażonym o składzie:

na 100 kg. cukru-kryształu białego:
5 „ soli bydlęcej lub kuchennej
3 „ makuchu lnianego (śruty)
1½ „ miału węgla drzewnego.

Dobór składników skażających miał na celu dodanie składników odżywczych i djetetycznych, a jednocześnie trudnych do oddzielenia od samego cukru.

I tak dodatek makuchu lnianego reguluje żołądek zwierząt, dodatek soli jest potrzebny dla utrzymania równowagi mineralnej organizmu oraz ciśnienia wewnętrznego, dodatek zaś węgla drzewnego ma na celu wchłanianie nadmiaru gazów rozdymających i jadów bakteryjnych.

Cukier pastewny jest to produkt nowy (patent 20.023), wprowadzany stopniowo na rynek, głównie dla koni i trzody chlewnej.

W kwietniu r. b. partję cukru zakupił Ogród Zoologiczny w Warszawie, karmił nim jako dodatkową paszą znajdujące się w ogrodzie zwierzęta i o rezultacie karmienia zawiadomił mnie listem następującej treści:

„W dniu 21 kwietnia 1934 r. sprowadziliśmy do Ogrodu Zoologicznego 1.000 kilogramów cukru pastewnego.

Od tego czasu dodajemy go stale do wszelkich potraw, zarówno jarzynowych, jak i mącznych, oraz napoi ziołowych dla małp, niedźwiedzi, ptaków egzotycznych. Otrzymują go również pony szetlandzkie, zebry, w pewnych ilościach wielbłądy, jelenie i inne parzystno-kopytne.

W każdym przypadku cukier konsumowany był chętnie, żadnych zaburzeń jelitowych, mimo tak różnorodnego materjału doświadczalnego, ani w jednym przypadku nie zaobserwowano.

Zwierzęta czuły się dobrze i z paszy tej jesteśmy bardzo zadowoleni".

Wobec treści powyższego listu i wobec znanej mi wartości cukru pastewnego, jako środka pokarmowego, poddaję pod dyskusję pytanie, czy nie należałoby przy zimowem dokarmianiu zwierzyny zacząć stosować „cukier pastewny" oraz dokarmiać nim ptaki kurowate w okresie nośności.

Z dotychczasowych sprawozdań hodowców, karmiących swe konie cukrem pastewnym, wynika, że:

1) cukier pastewny usuwa niebezpieczeństwo zaburzeń jelitowych i kolki (u koni),
2) zwiększa peristaltykę kiszek,
3) wzmaga połysk sierści (u koni),
4) zwiększa ruchliwość (u koni),
5) zwiększa siły i poprawia kondycję (u koni),
6) u źrebiąt zołzy przechodzą lżej, niż bez karmienia cukrem pastewnym,
7) współczynnik strawności równorzędnie skarmianych pasz wzrasta,
8) cukier pastewny, poza własnościami odżywczemi i energetycznemi, traktować należy jako środek djetetyczny.

Jeżeli zatem przyjąć, że u zwierząt, żyjących w stanie dzikim, cukier pastewny odniesie podobne korzyści, to poruszenie tej sprawy na łamach „Łowca Polskiego" uważam za pożądane dla hodowli zwierzyny.

Strona kalkulacyjna cukru pastewnego jest następująca: 100 kg. c u k r u p a s t e w n e g o luzem wynosi Zł. 29.—, a w worku cechowanym Zł. 31.—. Dotychczas produkuje i sprzedaje ten cukier jedynie cukrownia nasza D o b r z e l i n, stacja kolejowa i poczta Ż y c h l i n, starostwa kutnowskiego.

Przy kalkulacji porównawczej przyjmuje się 1 kg. cukru pastewnego za 3 kg. owsa.

Poza temi informacjami dodać muszę, iż cukier pastewny, jako bezakcyzowy, skarmiać można po uzyskaniu pozwolenia od Ministerstwa Skarbu, co trwa około 10 dni. Wzór odnośnego podania niżej podaję:

DO
MINISTERSTWA SKARBU
WYDZIAŁU PODATKÓW POŚREDNICH
W WARSZAWIE.

Niniejszym prosimy o wydanie nam pozwolenia na nabycie z cukrowni Dobrzelin, p. Żychlin, nieopodatkowanego cukru na paszę dla inwentarzy pod nazwą „cukier pastewny" w ilości .... q.

Skażenie tego cukru będzie o składzie, jak niżej:

na 100 kg. cukru białego
3 „ makuchu lnianego
5 „ soli bydlęcej
1½ „ węgla drzewnego:

Cukier ten spasiony będzie w majątku .... p.

Znaczek stemplowy w cenie Zł. 5.— dla opłaty niniejszego podania dołączamy.

Byłoby nader pożądanem, ażeby myśliwi-hodowcy, którzy zdecydują się na zastosowanie opisanego cukru pastewnego dla zwierzyny, zechcieli potem podać do publicznej wiadomości swoje spostrzeżenia.

INŻ. KAROL ROTKEL.

Arja mało się różni od pierwszej, może wykazała trochę mniej blasku, ma dobry węch, dobre chody i celowe przekładanie pola, dobrze sekunduje, wystawia prawidłowo, lecz nie wytrzymuje stójki, wobec czego spędziła kury; ma twardą stójkę i ciężko doprowadza. Suka jest zupełnie dobra, opanowana przez swego właściciela, który prowadzi ją spokojnie i pewnie. Suka wymaga jeszcze trochę pracy.

Trzecie miejsce zajął Dżok, pies setter angielski, blue belton, urodzony 1.I.1933 r. po Floks i Djana K. S. A.

Właściciel — p. J. Skarzyński. Hodowca — p. W. Góra. Mener — J. Dziekanowski.

Dżok w pierwszym turze rozpoczyna dobremi chodami, cokolwiek ociężałym stylem jak na angielskiego settra, ma wadliwy sposób szukania, przeważnie robiąc zwroty wtył, co należy przypisać na karb winy menera. Zrobił kilka pustych stójek, jedną stójkę do zająca, względem którego nie jest zupełnie obojętny; zrobił dobrą stójkę do kur i dobrze doprowadził, wykazując dobry węch. W drugiej turze zupełnie spadł z chodów, ciągle wracając do nóg menera; w dalszym ciągu dobrze wypracował parę kur, potwierdzając, że ma węch. W szczególności niechętnie honoruje stójkę partnera i brakuje mu stylu. Pies jest w stanie surowym—wymaga pracy.



Stójka czterech ras. Fot. K. Kamieński.

Marbiel - Gargatun (Gar) pies pointer, biały czarno znaczony, urodził się 20.XII.1932 r. po Janko i Blackfield Edith.

Właściciel — p. W. Garczyński. Hodowca — p. M. Bielawski. Mener — J. Dziekanowski.

Gar nie robi wrażenia psa, będącego w formie, ma widoczne braki: markuje często puste stójki, wpada na kury, źle przekłada pole, ale ma dobre wrodzone zalety, nieumiejętnie wykorzystane przez menera — rozpoczyna dobremi chodami, zrobił stójkę na śladzie kur, jednak nie udało mu się doprowadzić do nich, gdyż spłoszył je mener; w dalszym ciągu przy bocznym wietrze wpada na kury, trzyma się blisko nogi menera, sekunduje dobrze. Pies wymaga dobrego menera, jest zupełnie w surowym stanie.

Era z Romowe, K. S. A. 16, suka setter angielski, blue belton, ur. 30.I.33 r. po Franc de Guerveur L. O. F. 47245 i Musa K. S. A. I.

Właściciel — p. B. Gołębiowski. Hodowca — p. S. Piłsudski. Mener — I. Żółtonosow.

Era początkowo rozpoczyna pracę dość dobremi chodami, sekunduje dobrze, zrobiła dobrą stójkę i dobrze doprowadziła. Mener nie podprowadza do asysty i w niczem nie dopomaga swojemu pupilowi. W końcu pracy wykazała słabe chody, blady styl, stale trzymała się blisko menera, prawie cała praca suki polegała na sekundowaniu pertnerowi. Suka jest w zupełnie surowym stanie—wymaga treningu i tresury.

Splendor - Malwa, suka pointer, biała czarno znaczona, ur. 15.VI.33 r. Janko i Splendor-Nigra.

Właściciel — p. R. Żołopiński. Hodowca — p. A. Brudnicki. Mener — I. Żółtonosow.

Malwa ma niepełne 11 miesięcy i zupełnie jeszcze niegotowa do występów na próbach polowych, trzyma się blisko menera, wpada na kury, które płoszy. Zrobiła bardzo dobrą stójkę, doprowadziła do kur i po strzale zachowała się należycie, później zrobiła kilka pustych stójek. Cała praca zostawiła wrażenie naiwnie dziecinne, niezbyt poważne. Materjał dobry.

Splendor - Eros, pies pointer, biały czarno znaczony. Urodz. 25.III.1933 r. po Janko i Bolmil-Prima.

Właściciel — p. A. Brudnicki. Hodowca — p. A. Brudnicki. Mener — właściciel.

Eros ma dobre chody, nie brak mu węchu, zrobił stójkę z oddali, lecz nie doprowadził, kury się zerwały; w dalszym ciągu zrobił stójkę do zająca, goni zająca, dużo pustych stójek, i często wpada na kury. Pies dobry, lecz jeszcze w surowym stanie.

KLASA II-ga OTWARTA.

W klasie II-ej otwartej pierwsze miejsce zajęła młoda suka pointer Marbiel - Guerre i zupełnie potwierdziła dobre wrażenie z poprzedniej swojej pracy, pokazując kilka klasycznych przykładów pracy pointra. Na pierwszem miejscu znalazła się Guerre dzięki ostatniej rundzie z Edith (matka Guerre). Obie suki nieoczekiwanie znalazły się na weselu zajęcy, których było z pół tuzina:—zawielka pokusa — Edith pokazała się mniej obojętna i niewiadomo, czy jedynie obecność właściciela Edith uratowała sytuację, która mogła się skończyć katastrofą.

Blacfield - Edith LOSH, 41571, suka pointer, biała czarno znaczona. Ur. 1.IX.30 r. po Osbor Boris LOSH 38453 PKMOO 6042 i Blackfield Paine LOSH. 29438.

Właściciel — p. M. Bielawski. Hodowca — p. W. Marr. Mener — J. Dziekanowski.

Edith zajęła drugie miejsce. Pełna temperamentu, z niewyczerpanym zapasem energji, w pełnym galopie daje raptowne stójki, nader piękne. Edith wyróżnia się z pośród swoich współzawodników i w pracy swej pokazała, jakim może być pointer.

Ruta pointer i Boy irladzki setter podzielili trzecie miejsce.

Ruta, suka pointer biała, pomarańczowo znaczona, ur. 14.II.30 r. po Skogis Grom i Irma av Lyngsassa.

Właściciel — p. J. Antoszewski. Hodowca — p. K. Antoszewski. Mener — właściciel.

Ruta dała kilka dobrych prac do kur, pracuje dolnym wiatrem, zacina się na śladach, ma dobre chody, dała doskonałą stójkę i dobrze doprowadziła do kur, często robi puste stójki, wykazuje dużo staranności i ma doświadczenie w pracy.

Boy P. K. R. Al. 78, pies setter irlandzki, czerwony, ur. 23.X.32 r. po Rink PKR. Al. 64 i Astra PKR Al. 77.

Właściciel — p. Z. Krotkiewski. Hodowca — właściciel. Mener — J. Dziekanowski.

Boy, typowy irlandczyk, ma bardzo dobre chody, dobry węch, praca nad nim jeszcze niezakończona, na stójce nie zamiera, tylko stara się podkraść do kur. Mener wciąż go przywołuje i w ten sposób przeszkadza mu, skutkiem czego widzimy puste stójki. Dopiero w dobrych rękach, po myśliwskim sezonie pokaże, co z niego może być.

Trening-Bey, pies pointer, biały żółto znaczony, ur. 13.V.32 r. po Grom i Zula Trening.

Właściciel — p. J. Kulesza. Hodowca — p. J. Zienkowski. Mener — właściciel.

Boy dał dwie dobre stójki, jednak obie wyraźnie puste, pozostawił wrażenie psa przeciętnego.

Franc de Guerveur, LOF. 47245, pies setter angielski blue-belton. Ur. 5.VII.31 po By de Malville i Dinach des Hairies.

Właściciel—p. S. Piłsudski. Hodowca — p. C. Leger (Francja). Mener — I. Żołtonosow.

Franc rozpoczyna pracę dobremi chodami, wiatr ma słaby, bo wpadł na kury, które spłoszył. Zrobił stójkę do zająca, zacina się na śladach, nie chce sekundować. Pies jest w złej formie, wymaga treningu i pracy.

Surprise - Graal, pies setter angielski, tricolor, ur. 6.IV.32 r. po Floks i Surprise Rouge (Meg).

Właściciel — p. Z. Czajkowski. Hodowca — p. B. Przychodźko. Mener — I. Żołtonosow.

Graal początkowo pracuje dobrze, prędko się męczy, ma średnie chody, brakuje mu stylu, ma słaby wiatr, po strzale goni; tam gdzie Graal przeszedł, sędziowie spłoszyli kury. Pies jest w surowym stanie.

Eros, pies pointer młody, do swej poprzedniej pracy dodał tylko chęć gonienia spłoszonych kur.

Surprise - Gem (Dżem) KSA. 6, pies setter angielski, blue belton, ur. 6.IV.1932 r. po Floks i Surprise-Rouge (Meg) KSA. 3.

Właściciel — p. Z. Tarnowski. Hodowca — p. B. Przychodźko. Mener — I. Żołtonosow.

Gem ma dobre chody, dobrze asystuje, nie brak mu wiatru, jednak kury płoszy. Po dobrze zrobionej stójce i dobrze doprowadzonej, pogonił unoszące się kury. Pies robi dodatnie wrażenie, potrzebuje dobrej ręki i treningu.

Bim, pies setter irlandzki, czerwony, ur. 23.X.32 r. po Rink PKR AI.—64 i Astra PKR. AI. 77.

Właściciel — p. Cz. Krassowski. Hodowca — p. Z. Krotkiewski. Mener — J. Dziekanowski.

Bim ma dobre chody, nie wykazał jednak dobrego wiatru, zauważywszy obecność kur cokolwiek zwolnił tempo i spłoszył je.

Era z Romowe robi wrażenie psa chorego. Wykazała słaby chód, słaby wiatr, trzyma się blisko menera. Z powodu choroby psa, właściciel wycofał Erę w trakcie rozgrywki. (Okazało się, że suka była szczenną).

Lord, pies setter angielski, blue-belton, urodzony 21.III.1932 r. po Chock i Aza PKR AI.—32.

Właściciel — p. P. Chrzanowski. Hodowca — p. P. Radowiecki. Mener — I. Żołtonosow.

Lord ma ciężki chód, pracuje dolnym wiatrem, ciągle trzyma się menera, nie wykazał dobrego węchu, wpadł na kury, bardzo się interesuje śladem, dał kilka pustych stójek, brak stylu i temperamentu. Pies zupełnie surowy.

Splendor-Arja, młoda pointerka, nie spisała się w klasie otwartej, nie dając tej pracy i tych walorów, które osiągnęła w klasie młodzieży, zdobywając drugie miejsce. Wykazała tylko dobre chody, daje parę pustych stójek, wpada na kury. Kończy swą pracę stójką do zająca.

A. STOLAROW.

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Z POWIATU TCZEW.

Powiat tczewski (woj. pomorskie) obejmuje 68.000 ha ziemi, teren ma lekko falisty, na którym spotykamy niewielkie zagajniki i lasy, chroniące zwierzynę od drapieżników. Gleba przeważnie dobra, pszenno buraczana. Zwierzostan średni, który w porównaniu z rokiem ubiegłym cośkolwiek się poprawił, dzięki samym myśliwym i poparciu władz miejscowych, będących w stałym kontakcie z delegatami powiatowymi Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

Z prawdziwą przyjemnością podkreślić muszę, że obecny starosta p. Muchniewski żywo interesuje się zagadnieniami łowieckiemi, jest członkiem Towarzystwa Łowieckiego Powiatu Tczewskiego i we wszelkich sprawach, dotyczących łowiectwa, zasięga opinji delegatów powiatowych i dlatego kłusownictwo uległo znacznemu zmniejszeniu, jest ostro ścigane i karane.

Zarejestrowanych obwodów łowieckich jest w powiecie 161, obejmujących ca 45.000 ha ziemi.

Kart łowieckich wydano w roku 1933 sztuk 55 (w roku 1932 105). Karty łowieckiej starostwo tutejsze nikomu nie wydaje bez uprzedniej opinji delegatów.

Broni skonfiskowano 83 sztuki (strzelby, sztucery, pistolety), a ukarano administracyjnie 103 osoby. Kłusownikom wytoczono kilka spraw sądowych, z których 5 ukarano grzywnami pieniężnemi, a w razie niemożności zapłacenia grzywny zamieniano na areszt.

W powiecie istnieją dwa towarzystwa łowieckie, z których jedno Towarzystwo Łowieckie Powiatu Tczewskiego zostało zatwierdzone przez województwo, a drugiego, pod nazwą Tczewskie Towarzystwo Łowieckie, województwo dotąd nie zatwierdziło.

Z grubszej zwierzyny trafiają się dziki i jelenie. Stan sarn średni. Najczęstszą zdobyczą myśliwych są zające. Kuropatw jest w naszym powiecie niewiele, jednak w roku sprawozdawczym stan ich uległ pewnemu zwiększeniu. W roku bieżącym znacznie mniej padło lisów na polowaniach leśnych, natomiast więcej na polnych, widocznie wielka ilość myszy wywabiła je na pola. Największą plagą łowiectwa są w dalszym ciągu liczne psy osadników i drobnych rolników, które jednak staramy się stopniowo unieszkodliwiać.

ZENON ŁUBIEŃSKI,
Delegat P. Z. S. Ł. na pow. Tczew.

Z POWIATU OPATÓW

Powiat opatowski leży w południowo - zachodniej części woj. kieleckiego. Ziemie posiada żyzne, łatwe do uprawy, lecz wilgotne i w złych warunkach klimatycznych, zupełnie nie odpowiadających hodowli zwierzyny. Położony w przeważnej części na stokach i wyżynach gór Świętokrzyskich, obfituje w opady deszczowe, a szczególnie śnieżne, kóre co roku pokrywają całą przestrzeń powiatu grubą warstwą na przeciąg trzech do czterech miesięcy. Dodając do tego zawsze późną, a często mokrą wiosnę — zrozumieć łatwo, że zwierzostan tutejszy ilościowo nie może nawet równać się ze stanem w cieplejszych, niżej i równiej położonych powiatach, jak w piotrkowskim, kaliskim, a nawet w sąsiednim, buskim.

Przy bardzo starannej opiece, w prywatnych majątkach dochodzą do niezłych wyników zajęcy, dalekich jednak w porównaniu z innemi okolicami.

Gorzej jest natomiast z kuropatwami, gdyż tutaj żadna ustawa, żadne terminy ochronne nie pomogą. Długotrwała pokrywa śniegowa w zimie, a masa psów włóczących się na wiosnę — oto plagi dla zwierzostanu kuropatwiego. Coraz więcej rozparcelowanych folwarków, komasacja i rozbudowa kolonij po polach (w każdej przynajmniej dwa głodne psy i kot), tworzą warunki coraz trudniejsze. Ptactwa błotnego i wodnego niema wcale. Grubszej zwierzyny także tu brak. W lecie przechodnia sarna po zbożach i parowach to cała ozdoba okolicy. Na krańcach powiatu, szczególnie w północnej części, zaczynają się już piaski i lasy, graniczące z dużemi kompleksami lasów; tam i dzik jeleń już się trafiają.

Z państwowych lasów w pow. opatowskim są 2 leśnictwa: Łagowskie w górach Świętokrzyskich i Malkowskie na południowym krańcu powiatu. Obydwa bez żadnej opieki łowieckiej, tak puste, że zimą po ponowie można godzinami jechać po linji i nie spotkać tropu zająca.

Zarejestrowanych obwodów łowieckich jest w powiecie 153. Kółek łowieckich 3. Kart łowieckich wydano w r. b. 215. Broni myśliwskiej odebrano kłusownikom w 1933 r — 96 sztuk. Ukarano za kłusownictwo 260 osób. Drugie tyle spraw jest w toku dochodzeń.

HENRYK RUDZKI,
Delegat P. Z. S. Ł. na pow. Opatów.

Z POWIATU GRODNO.

Teren powiatu grodzieńskiego (woj. białostockie) obejmuje około 440.000 ha. Na tym obszarze działa 11 kółek łowieckich. W tem 3 eksterytorjalne, mianowicie: Nadniemeńskie Kółko Łowieckie z Warszawy — dzierżawi większą część nadleśnictwa Kotrańskiego. Koło Miłośników Łowiectwa z Warszawy — nadleśnictwa Głuszniewskie, Jeziorskie i Wileńskie Towarzystwo Myśliwskie pracowników kolejowych — dzierżawi kilka wiosek wzdłuż toru kolejowego Druskieniki—Marcinkańce. Z lokalnych kółek łowieckich 3 należą do P. Z. S. Ł. O pozostałych kółkach niewiele posiadam wiadomości, gdyż uchylają się one od nadsyłania sprawozdań o swej działalności. Wiadome jednak jest, że zaczynają działać coraz poprawniej, wprowadzając stopniowo racjonalną gospodarkę łowiecką.

Nawiązany oddawna kontakt ze starostwem powiatowem umożliwia mi prowadzenie ewidencji:

1. myśliwych posiadających karty łowieckie.
2. obwodów łowieckich wspólnych i własnych.
3. osób karanych za wykroczenia przeciw prawu łowieckiemu.

Prócz tego prowadzę prywatne notatki o kłusownikach i wnykarzach.

Poczynając od 1 marca każdego roku, w miarę nagromadzenia się w starostwie podań o karty łowieckie i broń myśliwską, odbywa się komisyjne rozpatrywanie tych podań. Do składu komisji zapraszam jeszcze jednego, dwóch delegatów powiatowych z liczby zamieszkujących w Grodnie i w tym składzie rozpatrujemy i opinjujemy podania 2—3 razy do roku. W ten sposób rozpatrzono 50—60 podań. Resztę podań rozpatruję osobiście, gdyż zebrać pp. delegatów powiatowych często nie mogę.

Uchylonych podań w roku sprawozdawczym było dwa.

Wydawanie kart łowieckich przedstawia się następująco:

W roku	Na jeden rok dla:				Na trzy lata dla:				Razem
	Członk. K. Łow.	Funkc. Las. P.	Właśc. Obw. wł.	Luźnych myśl.	Członk. K. Łow.	Funkc. Las. P.	Właśc. Obw. wł.	Luźnych myśl.	
1932	36	29	8	79	9		6	13	180
1933	15	23	8	18	39		18	39	160

Akcja tworzenia obwodów łowieckich trochę się polepszyła i przedstawia się następująco:

Rodzaje obwodów	Po 31.XII.32		Po 31.XII.33	
	Liczba obw.	Obszar ha	Liczba obw.	Obszar ha
Własnych	79	35399	82	35934
Wspólnych	54	34328	83	54112
Razem:	133	69727	165	90046

Po wyłączeniu obszaru lasów państwowych (około 90.000 ha) łącznie z zarejestrowanemi obwodami łowieckiemi, pozostaje jeszcze 259.954 ha gruntów niezarejestrowanych.

Poszczególne koła łowieckie zaczynają dążyć do skomasowania swych terenów łowieckich. Obecnie akcja ta jest na dobrej drodze.

Wysiew roślin pastewnych praktykuje się w wielu kołach łowieckich, lecz niezawsze się udaje, prawdopodobnie z powodu niedostatecznego przygotowania gleby.

Opis terenu powiatu w porównaniu do lat poprzednich pozostaje bez zmiany. Nazwę nadleśnictwa Bersztowskiego zamieniono na Kotrańskie, bez zmian w granicach i obszarze.

Stwierdzono znaczną poprawę stanu głuszców, cietrzewi, dzikich kaczek, kuropatw, zajęcy, wiewiórek i wilków. Głuszce i wilki obecnie występują i w takich miejscowościach, gdzie ich nigdy nie było. Dzików, sarn i jarząbków, jak i w poprzednich latach, jest bardzo mało. Dokładniejszych danych przytoczyć nie mogę, gdyż tylko pięć nadleśnictw zwróciło mi kwestjonarjusze łowieckie. Z nadesłanych kwestjonarjuszy wynika, że jednak w byłem nadleśnictwie Bersztowskiem — obecnie Kotrańskiem — ilość zwierzyny stałej od paru lat zaczyna wzrastać. Wzrasta również i liczba łosi, których obecnie jest 17 sztuk, w tem 7 klemp. Nadleśnictwa Kotrańskie, Głuszniewskie i Jeziorskie w nadesłanych sprawozdaniach zaznaczają, że dzierżawcy tych łowisk, pracując w pełnym kontakcie z administracją lasów, dokładają dużo energji i starań dla podniesienia zwierzostanów. Zwiększono liczbę strażników łowieckich, wprowadzono dokarmianie zwierzyny i wysiew roślin pastewnych dla zwierzyny. Wszystko to zapewnia podniesienie zwierzostanów w najbliższym czasie.

Hodowla bażantów w majątkach Ciecierówka i Rudawa podobno zanika, natomiast próba hodowli bażantów na terenie zajęczarni Oficerskiego Klubu Łowieckiego garn. Grodno udała się. Wobec powyższego Oficerski Klub Łowiecki zamierza swe próby rozszerzyć, przenosząc je na specjalnie w tym celu wydzierżawiony teren.

Zajęczarnia Oficerskiego Klubu Łowieckiego w roku sprawozdawczym była nieczynna z powodu zaniesienia do niej zarazy zajęczej.

Rezerwat bobrowy liczy nadal tylko 12 chat bobrowych. Według sprawozdania nadleśnictwa Mostowskiego bobrów jest około 12 sztuk. Rejon rezerwatu jest otoczony większą opieką, jest okolony podwójnym drutem, wszelkie przejazdy i ścieżki skasowano i wynajęto specjalnego strażnika łowieckiego.

Chorób epidemicznych wśród zwierzyny na terenie powiatu nie spostrzeżono.

Spraw o naruszenie prawa łowieckiego wytoczono 80, w tem o kłusownictwo 74, o wnykarstwo 3 i za nielegalny handel zwierzyną 3. Wdrożenie dochodzeń w tych sprawach spowodowała policja państwowa w 76 wypadkach i nadleśnictwa państwowe w 4 wypadkach. Nielegalnie posiadanej broni odebrano przez funkcjonarjuszy pol. państw. 76 sztuk, w czem są dubeltówki i pojedynki różnych systemów, karabiny wojskowe mniej więcej w dobrym stanie i t. zw. „obrezy" czyli karabiny wojskowe upiłowane. Wymiar kar administracyjnych za wykroczenia przeciw prawu łowieckiemu w zupełności odpowiada wykroczeniom. O ile jednak ukarany wnosi apelację — sądy okręgowe, niestety, zazwyczaj zmniejszają karę co najmniej o połowę.

Dotychczasowy sposób zwalczania kłusownictwa jedynie przy pomocy kar, które w dodatku następują ze znacznem opóźnieniem, a często z braku dowodów winy bywają umarzane — jest i przewlekłe i niepewne. Obok kar za kłusownictwo, mojem zdaniem, winna być prowadzona szeroka propaganda racjonalnego łowiectwa, a ochroną zwierzyny należy zainteresować właścicieli gruntów.

Dla utrudnienia nielegalnego handlu zwierzyną byłoby dobre, aby każdy myśliwy, który zamierza sprzedawać zwierzynę, musiał wykupić w urzędzie gminnym na każdą sztukę zwierzyny tekturową kartkę, na której z jednej strony byłaby pieczęć starostwa, a na drugiej — dane, dotyczące właściciela karty łowieckiej.

Zwierzyna bita, zaopatrzona w taką kartkę, musiałaby wędrować z rąk do rąk, aż do kuchni, a dochód z kartek mógłby być przekazywany na dobro Oddziału powiatowej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej.

MICHAŁ NIEDŹWIEDZKI, ppłk.
Delegat P. Z. S. Ł. na powiat Grodno.

W SPRAWIE PRZEWOZU PSÓW KOLEJĄ.

Wskutek nieporozumień, zachodzących w kasach stacyjnych przy wykupywaniu przez myśliwych biletów dla psów, Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich zwrócił się w dniu 10 b. m. do Ministerstwa Komunikacji z następującem pismem:

„Powołując się na rozporządzenie Ministerstwa, dotyczące obniżenia taryfy za przewóz psów (Dz. Min. Kom. Nr. 23, poz. 125), uprzejmie prosimy o podanie do wiadomości podległym organom, by kasjerzy kolejowi nie żądali w dalszym ciągu ¼ biletu pasażerskiego za przewóz psa.

Prośbę naszą motywujemy licznemi skargami, które do nas napływają z całego obszaru Rzplitej".

ZE STOWARZYSZEŃ ZWIĄZKOWYCH.

Wyjaśnienia do sprawozdania Delegatów P. Z. S. Ł. na powiat Lida, umieszczonego w Nr. 16 „Łowca Polskiego" r. b.

Wojskowe Towarzystwo Łowieckie Garnizonu Lida jest jedynem Towarzystwem w powiecie, należącem do Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie.

Posiada 26 strażników łowieckich, z czego zaprzysiężonych na terenach spółek łowieckich 7, premjowanych gajowych państwowych 12-tu i prywatnych premjowanych gajowych 7-miu.

Towarzystwo wpuszcza rocznie 10 zajęczyc celem odświeżenia krwi, prowadzi poletka kultur roślin karmowych, wysiewa rocznie 10 kg. żarnowca, wysadza 500 kg. bulwy, 10 000 flanc kapusty pastewnej i 50.000 flanc jarmużu.

Ubiegłej zimy wywieziono na podkarmienie 3.000 kg. marchwi pastewnej, brukwi, kapusty i 5.000 klg. buraków.

Hasłem Towarzystwa jest ochrona i hodowla.

O działalności straży łowieckiej niech świadczą fakty, jak: doniesienie zarządowi o zabiciu przez kłusowników dzika, następnie rysia, protokóły policyjne o znalezieniu zabitego dzika u jednego z kłusowników, jak również kilkakrotne kary, wydane przez p. starostę i sądowe.

Na wszystkich terenach wytępiono całkowicie wnyki.

Powyższe dane wymownie świadczą o działalności Towarzystwa, a tem samem uchylamy się od dalszych usprawiedliwień co do chaotycznej gospodarki i braku nadzoru.

ZARZĄD WOJSKOWEGO TOW. ŁOWIECKIEGO GARNIZONU LIDA.

STRZELANIE DO RZUTKÓW W KOZIENICACH.

Staraniem Powiatowej Rady Łowieckiej w Kozienicach zostały zorganizowane w dniu 15 lipca 1934 roku na boisku P. W. i W. F. zawody w strzelaniu do rzutków.

Wyniki zawodów były następujące:

I Konkurencja otwarcia: 15 rzutków w 3-ch serjach po 5. Dystans 15 metrów. Nagród 5. Do zawodów stanęło 21 zawodników.

1 nagrodę (400 nabojów śrutowych) zdobył por. Tobola Kazimierz z wynikiem 15/15.

2 nagrodę (futerał na fuzję) zdobył p. Obutelewicz Tadeusz z wynikiem 13/15.

3 nagrodę (100 nabojów śrutowych) zdobył dr. Faliszewski Adam z wynikiem 13/15, obaj w rozgrywce.

4 nagrodę (pudełko do papierosów) zdobył p. Zgrzebniak Jan z wynikiem 12/15.

5 nagrodę (50 nabojów śrutowych) zdobył p. Gilles Andrzej z wynikiem 11/15.

II Konkurencja główna: 20 rzutków w 2-ch serjach po 10. Dystans 15 metrów. Nagród 5. Do zawodów stanęło 21 zawodników.

1 nagrodę (pistolet Browninga kal. 7.65) zdobył p. Gilles Andrzej z wynikiem 17/20.

2 nagrodę (200 nabojów śrutowych) zdobył p. Lenc Otton z wynikiem 16/20.

3 nagrodę (srebrna papierośnica) zdobył p. Obutelewicz Tadeusz z wynikiem 15/20.

4 nagrodę (100 nabojów śrutowych) zdobył p. Jamka Wojciech z wynikiem 15/20. Obaj w rozgrywce.

5 nagrodę (75 nabojów śrutowych) zdobył p. Kuszkowski Kazimierz z wynikiem 14/20.

III Konkurencja pocieszenia: 10 rzutków w 2-ch serjach po 5. Dystans 15 metrów. Nagród 5. Do zawodów stanęło 9 zawodników.

1 nagrodę (kordelas) zdobył p. Lenc Edmund z wynikiem 8/10.

2 nagrodę (150 nabojów śrutowych) zdobył starosta Kowalski Czesław z wynikiem 7/10.

3 nagrodę (torba myśliwska) zdobył kpt. Bukowski Stefan z wynikiem 7/10. Obaj w rozgrywce.

4 nagrodę (75 nabojów śrutowych) zdobył p. Chmielewski Marjan z wynikiem 5/10.

5 nagrodę (50 nabojów śrutowych) zdobył p. Wojciechowski Jan z wynikiem 4/10.

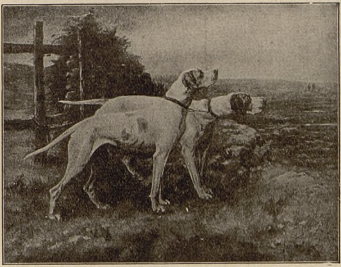
Ponadto do wszystkich nagród zostały wydane dyplomy.

Warunki strzelania: strzelanie z broni myśliwskiej kal. 12 i 16, śrutem 2.5 mm (Nr. 6).

W zawodach sędziowali pp.: Święcicki Zygmunt z Radomia, inż. Mróz Rajmund z Płonek, dyrektor Firkowski Stanisław z Kozienic.

Nagrody ofiarowali: Powiatowa Rada Łowiecka w Kozienicach, Państwowa Wytwórnia Prochu w Pionkach, Komitet P. W. i W. F. w Kozienicach, Kółko Myśliwskie „Sokół" w Pionkach, firma A. Arnekker w Radomiu, hr. Zamoyski Stanisław z Trzebieni i bar. Heydel Wojciech z Brzozy.

CZESŁAW KAWECKI,
Delegat P. Z. S. Ł. na powiat Kozienice.



KYNOLOGJA.

Z TOWARZYSTWA HODOWLI PSÓW MYŚLIWSKICH.

Towarzystwo Hodowli Psów Myśliwskich w Warszawie urządza w dniu 23 września r. b. jesienne próby polowe dla wyżłów użytkowych.

Próby odbędą się na terenach dóbr Wilanów. Początek o godz. 8-ej rano.

Zapisy psów przyjmuje sekretarjat Towarzystwa, Nowy Świat 35 (lokal Polskiego T-wa Łowieckiego) do dnia 13 września b. r. włącznie. Wpisowe wynosi zł. 10 od każdego psa.

Regulamin prób ogłoszony był w Nr. 25 „Łowca Polskiego" 1933 roku.

POKAZ I KONKURS PSÓW MYŚLIWSKICH NA POMORZU.

Pomorskie Towarzystwo Łowieckie (Toruń, Sienkiewicza 10) od początku swojego istnienia zwraca szczególną uwagę na hodowlę i tresurę psa myśliwskiego. Towarzystwo, organizując, lub współdziałając przy urządzaniu pięciu ostatnich konkursów wyżłów na Pomorzu, doszło do przekonania, że konieczną jest dla dobra sprawy dalsza wytrwała praca w tej dziedzinie.

W pierwszej połowie września 1934 r. organizuje Pomorskie Towarzystwo Łowieckie w Komierowie, pow. Sępolno pokaz i konkurs wyżłów. Starając się udostępnić udział psom, wykazującym nawet bardzo wielkie braki w tresurze, ustalono, że osobną częścią konkursu będzie pokaz psów, które ocenione będą, celem selekcji hodowlanej, przedewszystkiem z wyglądu zewnętrznego.

Psy te będą mogły wziąć również udział w konkursie, obejmującym wszystkie działy, przewidziane dla wyżłów dowodnych, albo w konkursie dla psów młodych o zredukowanym programie.

Jako nagrody przeznaczono: dyplomy na medale P. I. R. i inne, nagrody pieniężne i cenne podręczniki o hodowli i tresurze psa myśliwskiego.

Zgłoszenia przyjmuje i wszelkich informacji udziela Wiceprezes Pomorskiego Towarzystwa Łowieckiego, p. dr. Jan Łukowicz, Chojnice, Dworcowa 41.

NIEZWYKŁY WIDOK W CZASIE RUI.

Dnia 5 sierpnia b. r., przejeżdżając o godz. 7 rano koło łąki w leśnictwie państwowem Rąbczyn (nadleśn. Durowo, pow. Wągrowiec), spostrzegłem silnie goniące się dwie sztuki sarn, z których przednia zdaleka widoczna była jako słabsza. Gdy zbliżyły się ku mnie, skonstantowałem przez lornetkę, że porządek goniących się sztuk był odwrotny, niż zwykle. Przednia sztuka była bowiem dobrze rozwiniętym szpiczakiem, a tylną, goniącą, okazała się stara siuta, która goniła bardzo zawzięcie i długo.

O podobnym wypadku wspomina „Deutsche Jaeger-Zeitung" w n-rze 42 tom 81 z r. 1923 na str. 661, tylko wówczas gonionym przez kozę był szóstak.

Przy tem zauważyć muszę, że w rewirze wspomnianym na wstępie ruja była już w pełni od przeszło tygodnia.

S. MRÁVINCINS.

TRAGEDJA RODZINY KUROPATW.

Wiadomem jest powszechnie, na jak trudne warunki bytu natrafiają nasze najpospolitsze w Polsce ptaki łowne, kuropatwy, na północno - wschodnich kresach. Surowe zimy, z nieodłączną grubą szatą śnieżną na polach, przez długie nieraz tygodnie utrudniają kuropatwom dogrzebywanie się do głęboko zasypanego pokarmu. Częste zamarzanie roztapiającej się już na przedwiośniu pokrywy śnieżnej, powodujące twardą, zwierzchnią skorupę, uniemożliwia im całkowicie zdobywanie pożywienia, nieraz u schyłku ciężko przebytej zimy.

Toteż usiłowania myśliwych-rolników, dostarczających kuropatwom w wielu wypadkach najbardziej sprzyjających ich bytowi warunków na nielicznie do wyższej kultury doprowadzonych połaciach ziem Wileńszczyzny, wobec przeszkód klimatycznych, spełzają na niczem, a dohodowanie się kilkunastu, czy nawet kilku stad — w zależności od wielkości terenu — bywa zazwyczaj przejściową, krótkotrwałą radością hodowców w jakimś wyjątkowym roku, pomimo najpieczołowitszej z ich strony opieki i starań, jakich stale dla dobra kuropatw nie szczędzą.

Jeżeli dodać rozpowszechnione tutaj, jak zresztą wszędzie w Polsce, sidlarstwo zimowe, od którego giną masy tego ptactwa już ze spadnięciem pierwszych śniegów, a także dużą ilość drapieżników, naogół mniej tępionych, wobec rzadko rozsianych większych posiadłości, uprawiających hodowlę i ochronę zwierzyny — nietrudno wywnioskować, że żywot kuropatw na Wileńszczyźnie jest prawie beznadziejny (wyłączam przechowywanie woljerowe przez zimę, stosowane w szeregu wypadków).

Ale bywają czasem zimy stosunkowo i na tych ziemiach tak lekkie, a wiosny tak sprzyjające lęgowi (1933/34), że zaznaczają się te wyjątkowe warunki odrazu wielkim wzrostem stanu kuropatw, przysparzając ich miłośnikom chociaż chwilową radość.

Z tem wszystkiem jednak hodowca kuropatw, wileńszczanin, głębiej odczuwa walkę tego miłego ptaka z niszczącemi go warunkami naturalnemi, intensywniej prześladuje jego wrogów ze świata zwierzęcego i z pośród złych ludzi. Bo kuropatwa na Wileńszczyźnie bodaj że wyłącznie pod samemi budynkami jako tako szczęśliwie przetrwać może zimę i uchronić się przed dziesiątkami swoich prześladowców.

Nic więc dziwnego, że każdy nowy, a nieprzewidziany wypadek zniszczenia większej ilości kuropatw stanowi tu poniekąd ogólny smutek i cierpienie w całej rodzinie zamiłowanego hodowcy.

Z wielkiem przejęciem i zakłopotaniem wobec niewytłomaczonego faktu, opowiadał mi pan Kucharski, administrator dóbr Kozłowszczyzna, pow. Postawy (własność p. Dziewickiego z Lubelszczyzny), co następuje:

W roku 1932/3 dohodował się mimo ciężkiej zimy, drogą wyjątkowych starań i zabiegów, kilku stad „domowych", bo pod-folwarcznych kuropatw. I oto latem, w końcu lipca, czy na początku sierpnia, pewnego dnia, poprzedzonego długotrwałą ulewą z towarzyszeniem wyjątkowo silnej burzy, przy koszeniu zboża znaleziono trzynaście sztuk młodych kuropatewek wraz z rodzicami — bez życia.

Zastano je w ten sposób, że pod każdą ze starek siedziały małe, ale już lotne „zielonki", nakryte skrzydełkami koguta, lub kury. Starki zesztywniały w pozycji stojącej, z martwym drobiazgiem pod sobą. Jak to się stać mogło?! Czyżby skutki ulewy?

W dyskusji nad tym faktem doszliśmy obaj do przekonania, że kuropatwy musiał porazić piorun. Zamarły nagle, w jednej sekundzie wszystkie, małe i stare. Gdyby to miała sprawić ulewa, maleństwa byłyby uprowadzane przez stare w bezpieczniejsze miejsce i ginęłyby raczej kolejno, po drodze, lub w rezultacie zginęłyby zalane pod skrzydłami starek, ale żyłyby te ostatnie.

W każdym razie zdarzył się tu wypadek niepowszedni i bardzo przykry był z pewnością jego widok. Rozumiem p. Kucharskiego i do głębi serca mu współczuję. Na pociechę miał lepszą ostatnią zimę i bardzo dobrą wiosnę tegoroczną. Liczy na dziewięć, dziesięć stad.

Z praktycznych względów radzę — jeśli nie ma zamiaru wyłapać kuropatw na zimę do woljer — niech „spożyje owoc swych trudów" i przeprowadzi 40%-wy odstrzał.

W. Z.

DOBRE I ZŁE.

W lipcu i sierpniu b. r. ukazały się w bardzo wielu pismach codziennych stołecznych i prowincjonalnych wzmianki o wydaniu przez Pana Ministra Spraw Wewnętrznych okólnika do wojewodów w sprawie zaostrzenia nadzoru nad kłusownikami i nielegalnym handlem zwierzyną.

Okólnik ten został wydany wskutek powtarzającego się rokrocznie jesienią masowego wyłapywania w sidła różnorodnego ptactwa łownego od kuropatw do kwiczołów, paszkotów i drozdów.

Dotychczas ptactwo to sprzedawano jawnie i zazwyczaj (poza sezonem ochronnym) bezkarnie, w Warszawie i większych miastach prowincjonalnych, na targach i w sklepach, a inspektorzy Ligi Ochrony Zwierząt i pokrewnych towarzystw oraz delegaci Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich mieli wiele kłopotu, starając się na mocy swych uprawnień zwalczać ten proceder przez konfiskatę u kupców i przekupniów, poprzedzoną udowodnieniem (ekspertyzą), że ptactwo to jest duszone (łapane w sidła), a nie bite z broni palnej.

Należy podkreślić z całem uznaniem i przyjemnością, że tak ważne rozporządzenie Pana Ministra zostało podchwycone przez ogół naszej prasy i podane do publicznej wiadomości, jako poważny krok w zwalczaniu plagi sidlarstwa, prowadzącego w wielu okolicach do zupełnego wytępienia niektórych gatunków ptactwa.

Obok tego — po niedawnem wystąpieniu przeciwko lekceważeniu miarodajnych źródeł w zakresie wiadomości prawno-łowieckich, w odniesieniu do czasów ochronnych zwierzyny i polowania na nią, przez popularny „Ilustrowany Kurjer Codzienny" — musimy, niestety, znów ubolewać i przerażać się tem, że tak wzięte pismo codzienne, jakiem jest „Polska Zbrojna", podało niedawno fałszywe czasy ochronne niektórych gatunków zwierzyny łownej.

Jeżeli biadamy nad tem i wytykamy to ustawicznie prasie codziennej, że zbyt często to lub inne pismo pozwala sobie na podawanie dowolnych, a niewiadomo skąd czerpanych wiadomości z tego zakresu, to bezsprzecznie wina w tym wypadku redakcji „Polski Zbrojnej" jest nie do usprawiedliwienia.

Pismo to w maju r. b. zainaugurowało, jak o tem pisaliśmy, bardzo pożyteczny i serdecznie powitany przez odłam czytelników - myśliwych „stały dodatek łowiecki" p. t. „Łowiectwo", na redaktora którego zaprosiło znanego w kołach łowieckich myśliwego, p. Jerzego Dylewskiego.

Trudno o lepszy kontakt z najbardziej źródłowemi i fachowemi wiadomościami łowieckiemi...

A jednak stała się rzecz w tych warunkach niewytłomaczona, „Polska Zbrojna" — bez wiadomości kierownika fachowego dodatku łowieckiego — drukuje w pierwszym lepszym numerze pisma (nie w dodatku łowieckim), że na kuropatwy i przepiórki ochrona kończy się z dniem 15 b. m.

Powtarzamy: — to nie znajduje żadnego usprawiedliwienia. Niestety, podobne fakty przynoszą zbyt wiele szkody polskiemu łowiectwu wprowadzając zamęt wśród myśliwych, abyśmy mogli pominąć to dyskretnem milczeniem.

WUZET.

KŁUSOWNICTWO.

(—jb.—) W przykry sposób schwytał się w pułapkę niejaki Kortalczyk z Pawłowa (pow. Chojnice), który wyruszył na rowerze do pobliskich lasów państwowych. Oto... „skradziono" mu rower. Tak przynajmniej zeznał.

A cóż się okazało, gdy policja, której o swej przygodzie doniósł, wszczęła dochodzenie?

Rower znaleziono. Znalazł go mianowicie leśniczy Olter, który mimowoli spłoszył kłusownika, polującego ze sztucerem, przecinając mu powrót do roweru.

Dalsze dochodzenie wyświetliło sprawę całkowicie, gdyż w mieszkaniu Kortalczyka znaleziono sztucer i dowiedziano się, że wycieczka do lasu nie była niewinną przejażdżką.

*

(—jb.—) Leśniczy Jan Dobrowól z Bujakowa (pow. Biała Krak.) towarzyszył dzierżawcy polowania w pobliskim lesie, dr. Węcławskiemu z Katowic, w obchodzie terenu.

W pewnym momencie stanęli oko w oko z czterema uzbrojonymi kłusownikami, z których dwaj nieśli wór ze zwierzyną.

Leśniczy wezwał kłusowników, aby złożyli broń i łup. Ci jednak rzucili się do ucieczki. W czasie pościgu, po ostrzeżeniach, Dobrowól strzelił dwukrotnie i prawdopodobnie zranił jednego z kłusowników, który na chwilę upadł, podniósł się jednak i zbiegł, kryjąc się w zagajniku.

W porzuconym worku znajdowały się trzy zabite sarny.

Śledztwo jest na dobrej drodze i niewątpliwie ujawni sprawców.

*

(—x—) W lasach, należących do Witolda hr. Broel-Platera, w Osieczu Wielkim (pow. włocławski), leśniczy Marcin Frąckowiak, w czasie patrolowania powierzonych swej pieczy rewirów, natknął się niespodziewanie, w nocy dn. 9 lipca r. b., na kłusownika, ukrytego w zbożu.

Kłusownika zdradził strzał, wymierzony do zająca.

Leśniczy, dobywszy rewolweru, począł gonić kłusownika, który jednak, ukrywając się w życie, zdołał zbiedz.

Zaalarmowana policja niezwłocznie przeprowadziła, w obecności leśniczego Frąckowiaka, rewizję doraźną we wsi Leśniczówka gminy Pyszkowo, ustalając, że kłusownikiem jest gospodarz tejże wsi, Jan Fridrich.

Sprawę przekazano władzom sądowym.

*

(—x—) Dwaj posterunkowi policji państwowej z Kielna (pow. morski), Oswald Skowronek i Bronisław Szałkowski, będąc rano na służbowym obchodzie, spotkali rowerzystę, który na ich widok zawrócił i począł uciekać.

W czasie pościgu po polach, kłusownik porzucił rower i plecak, w którym znajdował się ciepły jeszcze rogacz, sam zaś zdołał zbiedz.

Został jednak rozpoznany; był to mianowicie Feliks Herman, ze wsi Bojano (pow. morski).

Posterunkowi bezpośrednio przed spotkaniem kłusownika słyszeli dwa strzały, co już niezbicie dowodzi o jego winie.

Sprawę przekazano sądowi grodzkiemu w Wejherowie.

*

(—x—) W lasach maj. Kropiwnik Stary (pod Borysławiem), strażnik leśny Antoni Kwaśnikiewicz, obchodząc swój rewir, spotkał znanego w okolicy kłusownika, Tomasza Łucia.

Na wezwanie, aby się zatrzymał, Łuć strzelił do strażnika z dubeltówki, ciężko raniąc go w piersi.

Rannego odwieziono w stanie groźnym do szpitala w Drohobyczu.

Zbrodniarza, po krótkim pościgu, ujęto i oddano do dyspozycji sędziego śledczego.

*

(—x—) Straż graniczna w Suchej (powiat Tarnowskie Góry), zatrzymała dwóch kłusowników, Piotra Latosika z Bobrownik i Wiktora Maliglówkę z Rept Nowych, schwytanych na gorącym uczynku, gdy wnajlepsze polowali, a za naganiacza służył im trzeci towarzysz wyprawy, Antoni Heczka.

Kłusownikom odebrano broń i sporządzono protokół w celu ukarania w drodze administracyjnej.

*

(—x—) Polowy w Nowej Wsi (pow. Rybniki), spostrzegł na terenie tej gminy kłusownika, który uciekał przed nim z dwoma zającami.

Zawiadomiona o tem policja przeprowadziła niespodziewanie rewizję w chacie oddawna podejrzanego o kłusownictwo Augusta Paszendy.

Choć zające zakopał Paszenda w polu, a broń i naboje ukrył w słomie — wszystkie te dowody winy odnaleziono, a kłusownika aresztowano.

WŁAŚCICIELE ŁOWISK! UBEZPIECZAJCIE SWOJĄ STRAŻ ŁOWIECKĄ NA WYPADEK ŚMIERCI LUB KALECTWA W WALCE Z KŁUSOWNICTWEM — JEST TO WASZYM KARDYNALNYM OBOWIĄZKIEM.

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Gryminski, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, Wł. Korsak, St. Leski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, gen. St. Skrzyński, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Wł. Zabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 687-98. KONTO P. K. O. Nr. 8082.

Dyrekcja Lasów Państwowych we Lwowie sprzedaje odstrzał jeleni-byków podczas tegorocznego rykowiska, w cenie od 200 — 450 zł. za 10-taka, za każdą dalszą parę odnóg od 25.— do 50.— zł.

Bliższych informacyj udziela Dyrekcja listownie oraz telefonicznie (Nr. 2-55).

Dyrektor Lasów Państwowych w zastępstwie
Inż. B. PTASZYŃSKI Inspektor.

Dyrekcja Lasów Państwowych we Lwowie sprzedaje począwszy od 15 sierpnia b. r. — odstrzał sarn-rogaczy w cenie od 20 do 30 zł.

Bliższych informacji udziela Dyrekcja listownie i telefonicznie.

Dyrekcja Lasów Państwowych
w/z INŻ. B. PTASZYŃSKI Inspektor

OGŁOSZENIA DROBNE

Leśnik poznańczyk lat 34, szesnaście lat praktyki obznajmiony we wszystkich gałęziach leśnictwa, bardzo energiczny, dobry tępiciel drapieżników i kłusowników, zamiłowany hodowca zwierzyny i bażantów, poszukuje posady od 1 października 1934 lub 1 stycznia z kaucją. Oferty dla „Poznańczyk".

Leśnik lat 35 z wykształceniem fachowem i szesnastoletnią praktyką w większych lasach, energiczny tępiciel kłusowników i złodziei leśnych poszukuje stosownej pracy, leśnictwo, obchód lub t. p. Oferty dla „Spec".

Springer Spaniele 2 miesięczne pieski po rasowych rodzicach (P.Z.H.P.R.A. 1 N 49 i N 80) sprzedam. W. Zajączkowski Krajewskiego 101 Pińsk.

1000 sztuk młodych bażantów 3000 sztuk bażanów do hodowli, egzemplarze silne, do dostarczenia w czasie od sierpnia do listopada, poszukiwane do kupna. Oferty z proponowaną ceną Eduard Meyer Wildexport Wiener Neustadt (Austrja).

Wyżły suka pointerka tresowana, w III-cim polu, 5-cio miesięczny wyżeł pointer, oraz dwa gryfony, suka i pies w II polu ułożone odda maj. Jagoniewice, poczta Kiszkowo, pow. Gniezno.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa.